

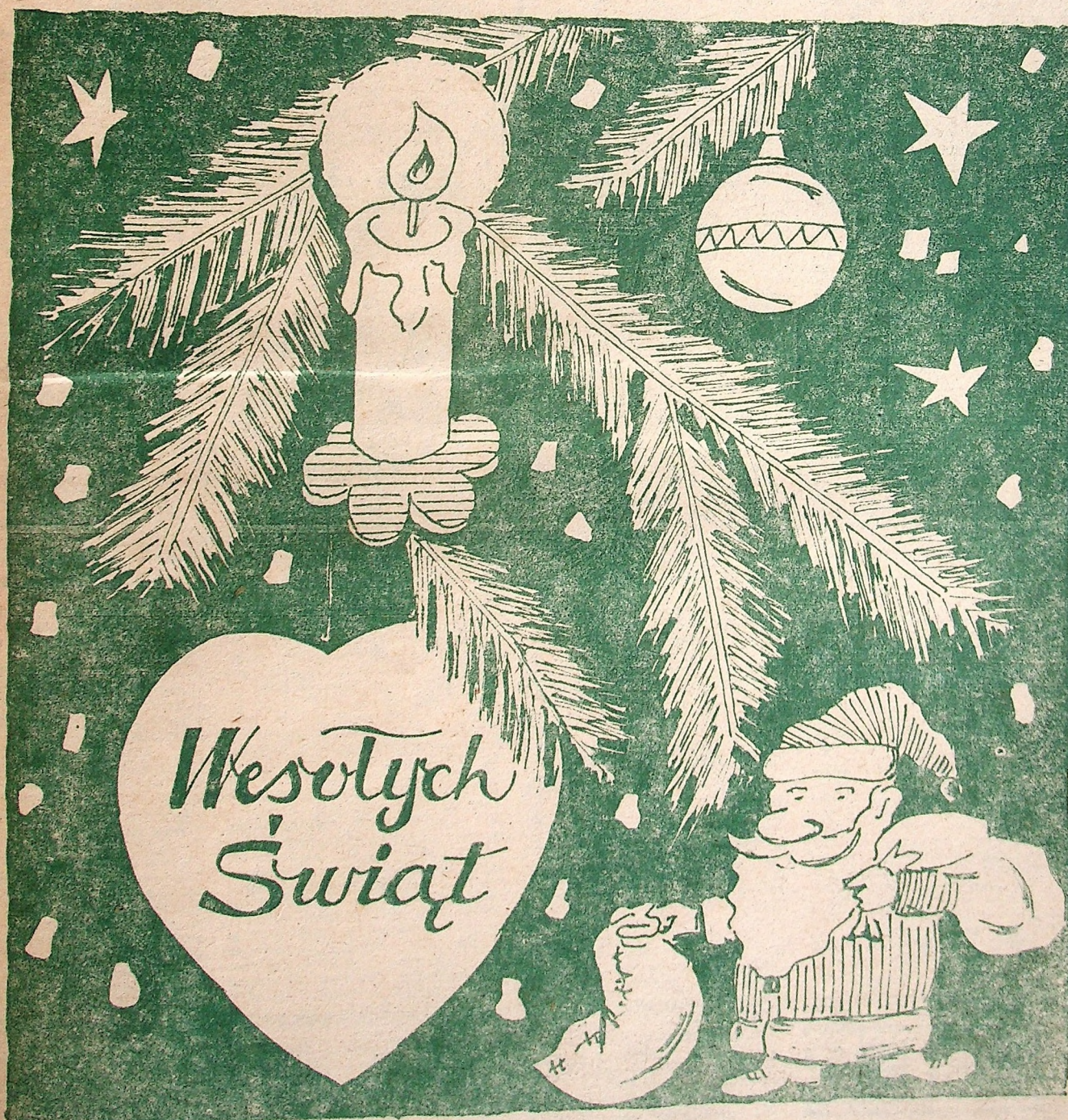
ILUSTROWANY TYGODNIK ZAGŁĘBIA MIEDZIOWEGO

POLSKA MIEDŹ

ROK VII NR 51 52 (354)

21 XII 1989 r.

CENA 300 ZŁ



TYDZIEŃ

POTĘPIENIE STANU
WOJENNEGO

W sali kinowej KGHM odbyło się 12 bm. uroczyste posiedzenie Międzyzakładowego Komitetu Organizacyjnego NSZZ „Solidarność” Zagłębia Miedziowego, poświęcone ósmej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego. Na początek z krótkim koncertem wystąpili aktorzy Teatru Dramatycznego w Legnicy. Następnie zebrani podjęli stanowisko, w którym potępił wprowadzenie 13 grudnia 1981 roku w Polsce stanu wojennego.

W części roboczej posiedzenia z jego uczestnikami spotkał się Krzysztof Ludwiniak — dyrektor Operacji Międzynarodowych firmy ESOP-Service z USA, który przedstawił problematykę akcjonariatu pracowniczego.

Omawiano także sprawy związane z wyborami w „Solidarności” na szczeblu wojewódzkim i regionalnym.

40 LAT „KONRADA”

Z okazji 40-lecia ZG „Konrad” odbyły się 15 bm. w Iwinach uroczystości jubileuszowe. W godzinach rannych miejscowej szkole podstawowej nadano imię „Pionierów Polskiej Miedzi” i wręczono sztandar ufundowany przez lokalną społeczność i załogę „Konrada”. Podczas sesji popularnonaukowej wspomnieniami podzielił się ludzie związany latami pracy z iwińską kopalnią — Jan Paździora, Kazimierz Dubiński i Adam Cholewiak. Na zakończenie kierownictwo zakładu spotkało się z pionierami i weteranami.

W uroczystości uczestniczyli m.in. wojewoda Ryszard Jelonek i dyrektor generalny KGHM Mirosław Pawlak.

BEZ CZŁONKOSTWA

Na ostatnim posiedzeniu zebrała się Rada Pracownicza III kadencji w ZG „Polkowice”. Zapoznano się z informacją dyrekcji o stanie realizacji uchwały RP o zaprzestaniu na terenie zakładu działalności przez organizacje społeczne i polityczne. Wynika z niej, iż KZ PZPR ponosi wszelkie kosz-

ta swojej działalności, zaś jego obecność na terenie kopalni zostanie rozstrzygnięta po ostatecznym uregulowaniu tej sprawy na szczeblu przedsiębiorstwa i centralnym.

Rada nie wyraziła zgody na przystąpienie ZG „Polkowice” na członka zbiorowego TPPR.

SPADEK NOTOWAN

Zie wieści docierają z Londyńskiej Giełdy Metali. Notowania na miedź ciągle spadają. Po październikowej wyższej, kiedy to za tonę „czerwonego metalu” płacono średnio ponad 1830 funtów szterlingów, w listopadzie zaczęło się „dółowanie”, które trwa dalej. Dość powiedzieć, że 8 grudnia br. cena spadła do 1517 funtów szterlingów, podczas gdy — to dla porównania — tego samego dnia przed rokiem wynosiła ona 2006 funtów szterlingów. Najgorsze przy tym, iż nic nie wskazuje — przynajmniej takie są opinie maklerów giełdowych — by w najbliższym czasie miała wystąpić poprawa.

Pocieszyć się można jedynie tym, iż już nie raz prognozy eksportów brały w leb.

ZGŁASZANIE
KANDYDATÓW

Każdego roku w lutym, z okazji kolejnej rocznicy wyzwolenia Lubina, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i prezydent miasta przyznają nagrody miejskie.

Przyznaje się je w następujących dziedzinach: nauka i jej popularyzacja oraz oświata, kultura i sztuka, dziennikarstwo i publicystyka, architektura i urbanistyka, kultura fizyczna, sport i turystyka, działalność społeczna, gospodarka itp.

Władze miejskie czekają na wnioski od instytucji i organizacji na kandydatów do nagród miasta Lubina.

NOMINACJI

Za zgodą zakładowej Rady Pracowniczej, dyrektor naczelny ZM „Legmet” powołał na swego zastępcę ds. techniki i rozwoju mgr. inż. Romana Nowaka (lat 40, absolwent wydziału maszyn i urządzeń górniczych AGH oraz podyplomowego studium doskonalenia organizacji i zarządzania, troje dzieci, pracował w „Legmecie” w latach 1973—76, ostatnio dyrektor Przedsiębiorstwa Budowlanego w Legnicy).

dory. Samiśmy ją przygotowali i sami musimy otworzyć wypuszczając na zewnątrz zgraje złych Mzim. Wszystko po to, aby było lepiej.

Trudno przypuszczać, aby przy świątecznych stołach panował nastrój wybujałego optymizmu. Będą to święta pełne obaw i niepewności o najbliższe miesiące. Bo właśnie one, w programie Balcerowicza, mają być polem zasadniczej batalii z inflacją. Żyjemy z nią na tyle długo, aby wiedzieć, że jest niezwykle żarłoczną szarańczę niszczącą wszelką przedsiębiorczość gospodarczą. Nawet w domach nie można niczego zaplanować dłużej niż na tydzień naprzód, bo nie wiadomo co będzie nim upłyne ten tydzień. Dla przedsiębiorstw i dużych, i małych wszelkie planowanie jest grą w ruletę. Zdobyćcie zamówienia na usługę wcale nie oznacza, że się na tym zarobi. Nie wiadomo bowiem czy

HANDEL
PODCZAS
ŚWIĄT

Wydział Przemysłu i Rynku Wewnętrznego Urzędu Miejskiego w Lubinie informuje mieszkańców Lubina o czasie pracy placówek handlowych i usługowych w okresie świątecznym:

● 23 grudnia sklepy ogólnospożywcze, czynne będą jak w dni powszednie, sklepy owocowo-warzywne do godz. 18, sklepy mięsne do godz. 16.

● Zakłady usługowe branży fryzjerskiej, kosmetycznej, art. gospodarstwa domowego, rtv, malownicze czynne będą do godz. 17.

● 24 grudnia czynne będą wszystkie sklepy spożywcze w godzinach od 7 do 12. „Delikatesy”

przy pl. Wolności czynne będą od godz. 10 do 15.

● 30 grudnia czynne będą wszystkie sklepy spożywcze i owocowo-warzywne jak w dni powszednie, sklepy mięsne do godz. 16, zakłady fryzjerskie i kosmetyczne do godz. 18.

● 31 grudnia sklepy spożywcze czynne będą jak w każdą niedzielę, tj. od 7 do 10.

● „Delikatesy” przy pl. Wolności czynne będą od godz. 10 do 15. Zakłady fryzjerskie i kosmetyczne czynne będą od 8 do 15.

● Sklepy przemysłowe dniach 23 i 30 grudnia będą nieczynne, z wyjątkiem domów warowych, które będą czynne jak w wolne soboty.

● 25 i 26 grudnia 1989 i 1 stycznia 1990 r. cała sieć handlowo-usługowa będzie nieczynna, z wyjątkiem wytypowanych „dyżurnych” kiosków „Ruchu”, kwiaciarni, zakładów fotograficznych, stacji obsługi samochodów „Polmożby” ul. Ścinawska, stacji benzynowej przy trasie Zielona Góra — Wrocław.

Dyżur w branży napraw rtv pod numerem telefonu 44-19-40.

Wszystko
w górę!



PO(D)GLADY

Stary i Nowy

Ma być gorzej, chociaż trudno powiedzieć, aby dzisiaj było gorzej. Stary rok żegna nas kolejnym spadkiem dochodu narodowego, szalejącą inflacją i cenową schizofrenią. Nowy wcale nie napawa optymizmem. Zapowiada się dalszy spadek produkcji, redukcję dochodów realnych o 20—25 procent, bankructwa przedsiębiorstw, kilkusetmilionowe bezrobocie. Wychodzi na to, że pod tegoroczną choinką znajdziemy puszkę Pan-

klent jest wypłacalny. Wiele firm żąda zapłaty gotówką przy odbiorze, inne każą przyjeżdżać z czekiem potwierdzonym przez bank, mało kto godzi się na przyjęcie zapłaty przelewem. Bo fakt podania numeru konta wcale nie oznacza, że są na nim pieniądze. A jeśli nawet są, też nie ma gwarancji otrzymania zapłaty, bo bywa, że banki również są bez pieniędzy. Ostatnio coraz częściej zdarzały się sytuacje, że księgowi obdzwaniili dłużników blagając o uregulowanie należności, bo nie będą mieli pieniędzy na wypłatę. Inflacja zżarła wszystkie długofalowe plany finansowe. Nie ma czym zapłacić za wybudowane już mieszkania, bo banki nie mają kredytów, diabli wzięli środki budżetowe i nie ma za co latać dziur w jezdniach i odśnieżać chodników. Wszyscy wszystkim są winni pieniądze i nie wiadomo jak wyjść z tego zakłętą kręgu. Oby zima

była dla nas łaskawa, bo może się zdarzyć, że ciepłownie nie będą miały czym płacić za węgiel.

Chcemy czy nie chcemy musimy się zmierzyć z inflacją. Będzie walka twarda i z pewnością ponijamy sobie guzów. Ale możemy z niej wyjść zwycięsko, jeśli nie zabraknie cierpliwości i determinacji. Im szybciej nam się to uda tym prędzej gospodarka przestanie funkcjonować na wariackich poziomach. Tak czy inaczej — nie ma alternatywy. Jeśli bowiem chcielibyśmy się cofnąć z wytyczonych drogi to wypadła zawieszona w powietrzu i szukać nowego miejsca pod stołcem. A że tam, gdzie chcielibyśmy pójść, nikt już nie udzieli nam azylu politycznego, no bo jak udowodnić, że się nie przesładowanym politycznie? przeło jako kraj docelowo zostanie... Rumunia. Mimo wszystko w solych świąt!

JAN DONSKI

POLSKA MIEDŹ

ISSN 0239-2074

Pismo KGHM. Wydawca: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch” Podwale 62, 50-016 Wrocław Redakcja „Polskiej Miedzi” Lubin, ul. M. Skłodowskiej-Curie 66, tel. 46-46-46, redaktor naczelny 46-10-20, sekretariat 46-10-25, sekretarz redakcji i pokój redaktorów 46-10-21. Zespół: Włodzisław Banas, Janusz Dobrzański, Maciej Haluch, Bożena Konczal, Jan Kurasz (red. naczelny), Bogusława Machowska, Barbara Machnicka, Mieczysław Marciński, Maria Samborska (z-ca red. naczelnej), Danuta Samiec, Stanisław Srokowski, Korkut Ursula, Włodarska, Gizela Żukowska. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” Wrocław, ul. P. Skarżyńskiego. Prenumerata: placówki RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Materiałów nie zamówionych redakcja nie przyjmuje. ca. zastrzega sobie także prawo do skrótów. Zam. 2098/87. F-11.

Na zaproszenie kierowni-
wa KGHM gościł w Lubinie
KRZYSZTOF LUDWI-
NIAK, dyrektor Operacji Mię-
narodowych firmy ESOP-
Services z USA. ESOP-Ser-
vices jest bankiem inwesty-
cyjnym zajmującym się kon-
trowaniem i finansowaniem
przedsiębiorstw stosujących
akcjonariat pracowniczy.

Wykorzystując obecność amery-
kańskiego finansisty Rada Pra-
cownicza KGHM zorganizowała
spotkanie, w którym wzięli udział
przedstawiciele zakładów przemysłu
miedziowego, członkowie prze-
wod rad pracowniczych i przed-
stawiciele organizacji związo-
wych. W pierwszej części spotka-



SPOSÓB NA PRYWATYZACJĘ

Gość z USA opowiedział o a-
merykańskich doświadczeniach z
akcjonariatem pracowniczym. Na-
głównie opowiedział na dziesięci-
minutowym spotkaniu, w tym wiele dotyczących
wstępnego wprowadzenia akcjo-
nariatu w Polsce i KGHM.
— W pragmatycznej Ameryce —
powiedział Krzysztof Ludwiniak —
ma mowy o tym, aby w go-
spodarce kierowano się względami
politycznymi lub politycznymi.
Jednak po części akcjonariat zro-
bia się z względów politycznych.
Wydziło bowiem o to, że trady-
cyjny system finansowania sprzy-
ja koncentracji kapitału w rękach
niektórych do dziesięciu procent
całkowitej grupy, co mogło być za-
grożeniem dla demokracji. Toteż
kilkanaście lat temu grupa kon-
sultantów wysnuła wniosek, że
dobry sposób — dla umocnienia
systemu wolnej przedsiębiorczości
— rozszerzyć posiadanie produk-
tywnego kapitału na możliwie naj-
większą część społeczeństwa. Po-
stąpił chwylić, a charakterystyczne
jest to, że ustawa o tworzeniu

własności pracowniczej została
przyjęta przez Senat i Izbę Re-
prezentantów prawie jednogło-
śnie.

Nabywanie akcji przez pracow-
ników jest regulowane specjalny-
mi przepisami i nabywają je
wszyscy włącznie z dyrekcją. Lo-
kowanie akcji zależy od pozycji
pracownika w zakładowej hierar-
chii. Charakterystyczne jest to, że
nabywcy akcji nie płacą za nie
swoimi oszczędnościami, lecz pra-
cą swoją i pracą obsługiwanych
maszyn. Akcje są skredytowane,
a za spłatę kredytu odpowiedzial-
ny jest przedsiębiorstwo. A w sy-
stemie akcjonariatu przedsiębior-
stwo stanowi pracownicy, którzy
po paru latach stają się jego wła-
ścicielami. Występuje tu niezwy-
kle silna wspólnota interesów, co
sprawia, że przedsiębiorstwa, które
przeszły na akcjonariat wyka-
zują się niezwykłą — nawet jak
na warunki amerykańskie — dy-
namiką rozwoju i wysoką efek-
tywnością ekonomiczną.

W USA, jeszcze dziesięć lat te-

mu, było zaledwie kilkaset tego
typu przedsiębiorstw. Obecnie jest
ich blisko 11 tysięcy i zatrudnia-
ją ponad 12 mln pracowników.
Trend ten utrzymuje się i wedle
przewidywań w roku 2000 już 30
procent pracujących Amerykanów
będzie akcjonariuszami własnych
firm.

Na pytania czy akcjonariat pra-
cowniczy jest możliwy do zastoso-
wania w polskich warunkach i
przy uwzględnieniu naszych pro-
blemów gospodarczych — dyrek-
tor Ludwiniak odpowiedział: — Z
całą pewnością tak. W Polsce, mi-
mo całej złożoności sytuacji gospo-
darczej, istnieją bardzo dobre wa-
runki do wprowadzenia i rozwoju
akcjonariatu pracowniczego. Prze-
de wszystkim dlatego, że mamy
do czynienia z jednym rodzajem
własności — własności państwo-
wej, a to upraszcza sprawę prze-
kazywania majątku. Potrzebna jest
tylko wola polityczna państwa. A
ta jest, bo przecież w programie
rządowym mówi się wyraźnie o
prywatyzacji. W istniejącej sytua-
cji można ten cel osiągnąć dwi-
ma metodami: 1) sprzedać przed-
siębiorstwa na giełdzie (przy za-
łożeniu, że wykupi je głównie za-
graniczny kapitał, co jest równo-
znaczne z wyprzedaniem majątku) 2)
pójść na akcjonariat pracowniczy,
w całości skredytowany przez
państwo. Ten drugi sposób jest
bardziej racjonalny, bo przedsię-
biorstwa stają się własnością ich
pracowników, podnosząc znacznie
dynamikę produkcyjną i efektyw-
ność ekonomiczną.

Aby rozwiać wątpliwości, czy
wprowadzenie akcjonariatu pra-
cowniczego w warunkach głąb-
kiego załamania gospodarczego i
szalejącej inflacji, rokuje szanse
powodzenia można odwołać się do
przykładu Chile. W połowie lat 70.
kraj ten był ekonomicznym ban-
krutem. Inflacja osiągnęła poziom
1000 procent, gospodarka była
zrujnowana, a zadłużenie zagra-
niczne na głowę mieszkańca było
znacznie wyższe niż w Polsce.
Rząd Chile w programie ratunko-
wym sięgnął po akcjonariat pra-
cowniczy. Wszystkie firmy pań-
stwowe — około 2500 — otrzyma-
ły możliwość zmiany struktury
własności. Dziś tylko kilkanaście
firm pozostało w rękach państwa.
Chile spłaciło wszystkie zagranic-
ne długi, ograniczyło inflację do

poziomu uznawanego za normal-
ny, a chilijska gospodarka jest
oazą dobrobytu wśród państw A-
meryki Płd. Polska ma wszelkie
dane po temu, aby pójść tą sa-
mą drogą i osiągnąć podobny suk-
ces.

Na wyrażoną wątpliwość, że we-
dle opinii amerykańskiego profes-
ora Jeffreya Sachsa akcjonariat
pracowniczy się nie sprawdzi, a
zastosowany w takich warunkach,
jak polskie, może się stać dodat-
kowym źródłem inflacji — dyrek-
tor Ludwiniak odpowiedział:

— Sachs jest podobno profes-
orem na jakimś amerykańskim u-
niwersytecie. Ale skoro tak twier-
dzi, to znaczy, że nie wie o
akcjonariacie, albo nie chce wie-
dzieć. A trudno o tym nie wie-
dzieć, albowiem wszystkie amery-
kańskie pisma fachowe bardzo du-
żo publikują na ten temat. Być
może Sachs został przez kogoś wy-
najęty do głoszenia „prawd” deza-
wuujących akcjonariat. Statystyka
gospodarcza wyraźnie jednak prze-
czy tym teoriom.

Krzysztof Ludwiniak, zapytany
czy jego zdaniem KGHM może zo-
stać przekształcony w przedsię-
biorstwo własności pracowniczej,
odpowiedział: — Odpowiedź na to
pytanie jest niemożliwa bez szcze-
gółowych studiów. Kombinat jest
bardzo dużym przedsiębiorstwem
o skomplikowanej strukturze or-
ganizacyjnej i finansowej. Trzeba
przeprowadzić głębokie studia dla
opracowania takiego planu. Bio-
rac jednak pod uwagę kondycję
ekonomiczną kombinatu, można
powiedzieć, że takie przekształce-
nie jest możliwe i mogłoby przy-
nieść wiele korzyści. Od dyrek-
cji i Rady Pracowniczej kombina-
tu dowiedziałem się o propozycji
utworzenia własnego banku, który
zająłby się obsługą finansową
firmy. Uważam to za doskonały
pomysł bowiem największym man-
kamentem polskiego systemu go-
spodarczego jest bankowość.

Sprawny system bankowy w wa-
runkach gospodarki rynkowej jest
podstawą wszystkiego. Mając swój
własny bank KGHM mógłby
znacznie szybciej zacząć robić in-
teresy ze światowym biznesem. A
ma po temu wszelkie atuty.

Zanotował DARIUSZ JAN J.
(zapis nie autoryzowany)

Akcjonariat pracowniczy (1)

Akcjonariat pracowniczy stał się
bardzo modny. Dzięki
zamordowanej aktywności Krzy-
stofa Ludwiniaka, amerykańskie
przedsiębiorcy, działające w
sprawie transformacji kapitału w
akcjonariat pracowniczy, dużo się sły-
szą o tej idei, a dzięki „Gazecie
Gospodarczej” — gospodarzemu
słatków do „Gazety Wyborczej”
stają się również coś o meto-
dach wprowadzania tego typu
własności.

czne szczegóły wdrażania akcjo-
nariatu pracowniczego.

W takiej sytuacji redakcja „Pol-
skiej Miedzi” zamówiła u mnie
cykl artykułów przybliżających
sprawę pracowniczej własności.
Spróbuję się z tego zamówienia
wywiązać możliwie dobrze, w
czym nieco pomoże mi równoległe
prowadzenie podobnego kącika w
wrocławskim „Niezależnym Sło-
wie”.

DLACZEGO UNIA WŁASNOŚCI PRACOWNICZEJ?

Zacznijmy od politycznego kon-
tekstu zagadnienia.

Polska gospodarka wymaga
zmiany struktury własnościowej.
Tak się bowiem składa, że nie
może być przedsiębiorczości i
przedsiębiorstwa bez przedsiębior-
cy, jak też zbudowania bez kapita-
listy, miasta bez mieszczaństwa
czy produkcji rolnej bez rolnika.
O ile jednak łatwo było jednym
pociąganiem pióra pozbawić się
przedsiębiorstw i burżuazji (z chło-
pami poszło gorzej), o tyle nie da
się tej operacji równie prosto

przeprowadzić w odwrotnym kie-
runku. Tak się bowiem składa, że
byłby chłopem, mieszczańcem czy
przedsiębiorcą zadekretować się
nie da. To kwestia struktury psy-
chicznej, aspiracji życiowych, spo-
sobu bycia, wielu różnych czyn-
ników, większość spośród których
trudna jest nie tylko do nazwa-
nia, ale i do wyodrębnienia. Aby
być w pełni przedsiębiorcą, trzeba
„do tego urodzić się”, a pewnie
też „skorupka powinna od młodu
nasiąkać” wieloma sprawami u-
noszącymi się w jej otoczeniu...

No tak, ale tego wszystkiego nie
ma i polska przedsiębiorczość mu-

Nie mamy tej grupy. Mamy
właśnie decydentów, mamy hazard-
zystów i kombinatorów, mamy
ludzi dobrej woli i ludzi złej wo-
li... I mamy znakomitą większość
społeczeństwa, którą ostatnie 45
lat skutecznie oduczyło przedsię-
biorczości. Być może, część z de-
cydentów, kombinatorów, hazard-
zystów itd. odnajdzie w sobie au-
tentyczną żylkę przedsiębiorczości.
Będziemy wówczas mieć niezbyt
wielką, w stosunku do potrzeb
grupę przedsiębiorców. Uzupełni-
ją jeszcze mniej liczna grupa
przedsiębiorców zbiorowych (np.
dobrze funkcjonujących samorzą-
dów pracowniczych).

Gorzej przedstawia się sprawa
z kapitalistami. Ci bowiem na o-
gół rekrutując się z poprzedniej
grupy, mają jedną wyróżniającą
ich cechę: kapitał. Kapitał a więc
majątek, który pozwala wejść w
ekonomiczną grę i ją dalej pro-
wadzić zgodnie z posiadanymi
zdolnościami i możliwościami. O-
tóż są między nami ludzie zdolni
zagrać w gospodarczo pokera.
Niewielu jednak z nich ma mo-
żliwość sprawdzić się w tej grze.

Trzeba więc wykreować polską
przedsiębiorczość i polski kapitał.
Pytanie, jakie kryje się w tle dy-
skusji o modelu uwłaszczenia
brzmii: Komu spośród nas da się
— i na jakich podstawach — mo-
żliwość wzięcia udziału w ekono-
micznej grze. Pomysłów jest kil-
ka: rozdać majątek wszystkim po
równu, przeprowadzić masyowe

(Ciąg dalszy na str. 4)

Z WACŁAWEM SAUTYCZEM, zastępcą dyrektora Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Legnicy, rozmawia Janusz Dobrzański.

● Sądze, że nasi Czytelnicy chcieliby wiedzieć czy od czasu do czasu bywa pan klientem swej własnej firmy? Jeżeli podróżuje pan czerwonymi autobusami, to proszę powiedzieć, jak często i jak ocenia pan funkcjonowanie tej komunikacji?

— Zdziwi się pan, ale należę do grona żelaznej klienteli WPK. Mieszkam w Lubinie, pracuję w Legnicy. Jestem więc skazany na codzienne dojeżdżanie. I to dwoma liniami. Taka sytuacja trwa już parę lat. Jestem więc bardzo doświadczonym pasażerem. Funkcjonowanie wupekowskiej komunikacji oceniam tak, jak inni. Kiedy stoję na przystanku, a potem tłoczę się w autobusie, myślę i czuję jak wszyscy; słyszę też opinie i komentarze współpasażerów. Czasami są one bardzo przykre, ale wynikają z konkretnej rzeczywistości. A więc nie tylko się nie obrażam — bo o co? — ale wyciągam z nich wnioski.

● Jakież?

— Choćby taki, że poziom usług oferowanych przez moją firmę nie jest zadowalający. Jeżeli np. w szczytce przewozowym na liniach miejskich jazdę w tłoku przez dziesięć czy dwadzieścia minut, można uznać za standard — bo to się da wytrzymać — to nie można tego samego powiedzieć o jeździe z Legnicy do Polkowic. To już jest koszmarny.

Wróć do pierwszego pytania. Kiedy stojąc na przystanku nie mogę się doczekać na spóźniający się autobus, to jako wiceszef WPK odpowiedzialny między innymi za organizację przewozów, widzę cały łańcuch konsekwencji. Bo jeśli autobus popsuł się na trasie, wynikają z tego określone koszty społeczne i ekonomiczne. Pasażerowie pospóźniają się do szkół i do pracy, poniesie straty moja firma, nie wspominając o potarganych ludzkich nerwach. I kiedy o tym myślę, to mnie krew zalewa, że u progu XXI wieku nie stać mnie na zainstalowanie w autobusach urządzeń do utrzymywania stałej łączności z centrami dyspozycyjnymi. Psuje się wóz na trasie, kierowca za pomocą radia informuje dyspozytora, a ten, natychmiast, wysłał w to miejsce nowy pojazd. Codziennosc jest taka, że jeśli w pobliżu miejsca awarii znajduje się telefon, to dowiadujemy się o niej dość szybko, w ciągu kilkunastu minut. Jeśli natomiast go nie ma, to wiadomość dociera po godzinie albo dwóch. Co się wtedy dzieje na przystankach, dokładnie wiadomo. Najgorsza jest świadomość, że prawie nic nie można zrobić.

● Marzenie o radiotelefonach jest tyle piękne, co nierealne. Pańska firma nekaj, zdaje się, bardziej prozaiczne problemy. Bo jak wytłumaczyć fakt, że WPK zawiesiło ostatnio kilka linii komunikacyjnych w całym województwie, a w wolne soboty i w niedziele „wycięło” całe mnóstwo kursów?

Na przystankach można usłyszeć opinie, że po ostatniej podwyżce cen biletów osiągnąć takie zyski, że nie chce się wam jeździć...

— Ostatnia podwyżka cen biletów pokryła zaledwie 80 procent kosztów związanych z podwyżką cen paliwa! O całej reszcie nie wspomnę, bo wszyscy doskonale wiedzą, że ceny i koszty rosną lawinowo w całej gospodarce. Dla ilustracji podam, że słupska „Kapena” za remont kapitalny autobusu żąda już 52 mln, podczas gdy nowy wóz kosztuje 56 milionów. Powie pan: „No to nie remontujcie, tylko kupujcie nowe wozy!”. A ja odpowiem pytaniem: Gdzie?

„Nie obiecuję poprawy”

Sytuacja, z jaką mamy do czynienia od kilku miesięcy, przypomina mi lata 79—81, kiedy nastąpiło dramatyczne załamanie rynku zaopatrzeniowego, na którym niczego nie można było dostać, ani opał, ani akumulatorów, ani części zamiennych. Teraz jest, niestety, znacznie gorzej, bo brakuje także paliwa.

Cięcia w liniach i kursach, najogólniej mówiąc, byliśmy zmuszeni przeprowadzić z dwóch powodów: finansowego i zaopatrzeniowego. Wspominałem już o kłopotach z paliwem. Są one tak dotkliwe, że gdybyśmy chcieli zatankować autobusy do pełna, jak dawniej, to nie dla wszystkich by starczyło. Stosujemy więc elastyczną politykę, polegającą na utrzymaniu normalnej komunikacji w dni powszednie, ale kosztem ograniczenia liczby linii i kursów w dni świąteczne. Innego wyjścia

nie ma. Zresztą podobnie postąpił PKS. Powód drugi, finansowy. Gdyby nawet nie wystąpiły kłopoty paliwowe i tak musielibyśmy obciążyć zakres usług. Gdybyśmy bowiem utrzymali je na normalnym poziomie, to deficyt finansowy WPK wyniósłby na koniec roku około 0,5 miliarda złotych! Budżet wojewódzki nie pokryłby tej straty, bo wszystkie środki przeznaczone na subwencjonowanie komunikacji miejskiej zjadła inflacja. Pozostałaby więc drastyczna podwyżka cen biletów. Wybraliśmy więc cięcia w rozkładach jazdy, uznając je za mniejsze zło.

● Jak pod względem finansowym zapowiadają się najbliższe miesiące?

— Nie wiem, bo w ogóle trudno dziś powiedzieć, na jakich zasadach będzie funkcjonowała miejska komunikacja. Prawdopodobnie obecny system organizacyjny i e-

konomiczno-finansowy zostanie gruntownie przemodelowany. Musi przecież odpowiadać nowym funkcjom lokalnej samorządności. Jeżeli zniknie nadrzędna rola budżetu wojewódzkiego, to ciężar subwencjonowania komunikacji miejskiej musi spaść na władze Lubina czy Legnicy. Jaki model ukształtuje się ostatecznie, trudno dziś wyrokować. Chociaż można powiedzieć, że w powodzi różnych koncepcji, przeważa pogląd, iż komunikacja miejska musi funkcjonować w oparciu o proste i jasne zasady kontraktowe. Czyli przedsiębiorstwo komunikacyjne podpisuje umowę z władzami miasta, w której precyzuje się, co ma robić i za ile, a także określa się zakres odpowiedzialności obu stron za ewentualne odstępstwa od przyjętych zobowiązań. Chodzi więc o wprowadzenie zasady coś za coś. Czyli o zupełne przeci-

wieństwo systemu obowiązującego obecnie. Teraz jest tak, że w ściwie nikt nie jest autentycznie zainteresowany efektywnością i ekonomiczną całego interesu. Na zbytnio nie zależy na wykazywaniu oszczędności, bo rezultat jest taki, że się ich nas w ostateczności pozbawia, pod postacią obciążenia dotacji. Z drugiej strony, w dze, oglądając każdy grosz do ręki, lamentując i gardząc o trzebie oszczędzania, bywają jednak nocześnie rozrzucone. Domagają się bowiem od nas uruchamiania nowych linii i połączeń, w wypadkach skrajnie nieracjonalnych. Jest to więc system skłócony genetycznie.

● Potrzeba zaprowadzenia takiej bezsporna. Proszę powiedzieć, jak w takim razie wyobraża pan sobie absolutnie niezbędne ulepszenia komunikacyjne wymagające inwestowania? Mam na myśli komunikację miejską w Lubinie.

— Myślę, że problem ten — tylko w przypadku Lubina — można rozwiązać na drodze nieinwestycyjnej. Proszę zwrócić uwagę, z jaką sytuacją mamy czynienia. W Lubinie są dwie firmy zajmujące się komunikacją pasażerską — WPK i PKS. Z tym że ta druga zajmuje się także transportem towarowym. WPK dysponuje tylko prowizoryczną bazą za obsługi taboru, w przeciwieństwie do PKS, który ma dużą funkcjonalną zajezdnię. Do tej ry, o czym powszechnie wiadomo, obie firmy nie potrafiły się dogadać. Gdyby jednak założyć, że PKS i WPK łączą się i tworzą Przedsiębiorstwo Przewozów Pasażerskich, obsługujące linie miejskie, podmiejskie i międzymiastowe — to problem sam się rozwiązuje. Bo nowa firma lokuje się w dotychczasowej bazie PKS, transport towarowy PKS łączy z „Transbudem”, korzystając z jezdni tego drugiego. Teraz, kiedy przestały istnieć monopolistyczne organizacje w postaci odrębnych takich rozwiązanie jest zupełnie inne.

● Jest wielce prawdopodobne, że przed tym, co już tu już przedsięwzięcia komunikacyjnych zostaną wymuszone warunkami ekonomicznymi. Ale nim to nastąpi, WPK będzie funkcjonować wedle dotychczasowych reguł. Co pan może obiecać swojej wielotysięcznej klienteli w roku?

— Stawiam sprawę otwarcie uczciwie, bo jestem realistą i nie obiecuję poprawy. Biorąc pod uwagę skomplikowane warunki, jakich pracujemy i licząc się z tym, że kłopoty mogą się jeszcze pogłębić, nie mogę składać żadnych optymistycznych deklaracji. Zawsze bowiem obiecuję tylko czego mogę w pełni dotrzymać. Mogę więc oświadczyć, że ja firma uczynimy wszystko, aby komunikacja miejska w Legnicy funkcjonowała tak samo, jak tej pory. Nie jest to wprawdzie szczyt marzeń pasażerów i naszych zawodowych ambicji, jest to — wszystko, co da się zrobić w tych warunkach.

● Dziękuję za rozmowę.



DLACZEGO UNIA WŁASNOŚCI PRACOWNICZEJ?

(Dokończenie ze str. 3)

nie pracownice, rozprzedać majątek narodowy ratując budżet państwa i uzyskując środki do niezbędnych reform...

Zasygnalizuję tylko, że za różnymi opcjami (a jest ich więcej) kryją się zapewne znaczące siły międzynarodowe. Polska i kraje

ościenne stały się bowiem terenem dla łatwej ekspansji kapitału zagranicznego. Trudno, oni umieją grać i mają za co grę prowadzić.

Ostatni z trzech wymienionych pomysłów cieszy się znacznym poparciem kręgów rządowych (w końcu polską politykę gospodarczą prowadzi Ministerstwo Finansów, które odpowiada za zbilansowanie budżetu!). Jest to wszakże pomysł groźny. Łatwo bowiem przewidzieć, że przy jego konsekwentnej realizacji, polski majątek narodowy przejdzie szybko i niemal w całości w ręce kapitału zagranicznego (mogącego dodatkowo zażądać pewnych korzyści z

tytułu własności sporych części polskiego zadłużenia).

Ze względów ideowych i społecznych, program akcjonariatu pracowniczego jest najbardziej realnym, cieszącym się poparciem społecznym konkurentem powyższych koncepcji. Żeby wszakże mógł przebić się wśród innych programów w toku prac legislacyjnych, musi mieć jakąś bazę organizacyjną, pewną strukturę, która będzie działała na rzecz jego realizacji.

Jest to jedno z głównych, a obecnie najpilniejszych, zadanie Unii Własności Pracowniczej, której członkiem może być każde przedsiębiorstwo. JAN WASZKIEWICZ

Czytelnikom zainteresowanym tematem, podajemy adres kontaktowy: dr Jan Waszkiewicz, Ośrodek Badań Progностycznych, ul. Szymańskiego 7, 51-609 Wrocław, tel. 48-42-30.

Informacji zasięgnąć można też u panów Wojciecha Skrzonia i Mirosława Krzeminskiego z Rady Pracowniczej kombinatu.

Sprawę prosimy traktować jako pilną i ważną!

Po roku...

W historii Ormian 7 grudnia r. jest najtragiczniejszą datą. W dniu, o godz. 12.41 trzęsienie ziemi pochłonęło co najmniej 25 tysięcy istnień ludzkich. Co najmniej — bowiem dane ONZ mówią o liczbie dwukrotnie większej... 400 tysięcy osób pozbawionych zostało dachu nad głową. W mieście legła większość zabudowań, w tym Kirowakanu. Katastrofa starła z powierzchni ziemi 150 wsi i 50-tysięczny Spitsak.

Armeńska zima jest surowa — w styczniu dochodzi do dwudziestu stopni. I zimą właśnie w Spitsaku przegrano, a porażkę było wyraźnie już jesienią. Wiele mieszkańców poszkodowanych terenów przeżyją w przykrych warunkach kolejną zimę.

☆ Bogdan Nuciński — przewodniczący Komisji Zakładowej „Solidarności” w ZG „Lubin” znalazł w 15-osobowej grupie Polaków zaproszonych na przełomie października i listopada do Erewanu przez Instytut Fizyki Atomowej do udziału w sympozjum o rolnictwie. Był to w pewnym sensie rewanż za trzykrotne gościnie i szkolenie w Lubinie grupy naukowców ormiańskich.

Spitak wywarł na mnie — Bogdan Nuciński — wręcz tragiczne wrażenie. Ludzie nadal mieszkają tam w warunkach gorzej niż w namiotach — w namiotach, niemal w ziemiankach. Po prostu koczują gdzie się da. Potworne wrażenie wywarła ruina — do tej pory Spitak nie jest odgruzowany i prawdę mówiąc, nie wiadomo, czy nastąpić w najbliższej przyszłości. Nigdzie, dookoła nigdzie, nie zauważyliśmy śladu, który przecież jest potrzebny i do odgruzowywania, i do odbudowy. Byliśmy zaskoczeni bezrozumem, bo wiedzieliśmy, że w Erewanie ze świata dość dużo przychodzi dla Ormian. Pytaliśmy ich o to. Odpowiadali, że o tym, sprzęt do nich dociera, a tam, gdzieś giną. Przy okazji wspomnieliśmy także o członkach naszej delegacji o dwóch sprawach. Po pierwsze, przygotowana przez Polaków odzież, koce itp. na Okęciu została przez kogoś zatrzymana pod pretekstem, że „oni nie mają wszystkiego mają...”. Po

drugie, podobno zaraz po tragedii Spitaku zobowiązał się do przygotowania dokumentacji, a później i do budowania centralnej stacji radiowej. Do dzisiaj jednak państwo nie pisało. Ormianie podejrzewają, że w Zarządzie Głównym PWP w Warszawie zmienili się i dlatego nikt już o obietnicy nie pamięta.

Trzeba przyznać, że inne narodziły się nie mają tak krótkiej pamięci. Na obrzeżach Spitaku zaczęły powstawać domki jedno- i dwukondygnacyjne, budowane ręcznie Włochów, Finów, Czechów, Niemców i Polaków. To wprawdzie jeszcze nie jest, jak na ogromne potrzeby, zawsze jakaś pomoc...

Wracając do gruzowiska, jakie pozostało po dawnym Spitaku, słyszymy jednocześnie relacje o straszliwej śmierci sprzed roku. Napisano o tym wiele tomy, ale i tak słowa nie oddadzą tej tragedii. Erewanie, którzy brali pośredni udział w akcji ratowniczej opowiadali nam, że na gruzowisku, zanim przybyły ekipy z zagranicy, jedynym sprzętem, jakim dysponowali, były łopaty, kilofy. Uniemożliwiało to ratowanie ludzi bardziej

przysypanych... Opowiadano nam, jak „ułatwiała” sobie pracę ekipa ratowników z Moskwy. Podobno nie zastanawiali się nawet jak pomóc, tylko gdy stwierdzili, że człowiek jest zbyt przysypany, to po prostu dobijali go na miejscu... Jeśli ktoś miał przywaloną górami rękę czy nogę, to odcinali łopata... Wspominano mężczyznę, którego żona zginęła pod gruzami, ale trzymane przez nią niemowlę cudem przeżyło. Ten nieszczęsny ojciec nikogo nie chciał dopuścić do tego miejsca. Wręcz groził nożem, bo pewnie bał się tych ratowników niosących „uwolnienie” łopata... I tym samym nożem kawałek po kawałeczku pracownicy dłużyli w betonowym gruzowisku tak długo, aż wydobył z niego całe i żywe dziecko...

☆ Podziwiam Ormian... Żyją w blokadzie — wznawianej przez Azerbejdżan co jakiś czas. Dociera do nich zaledwie 80 proc. zaopatrzenia. A nawet jak blokada ustaje, pociągi przywożą ładunki uszkodzone, rozgrabione, poniszczone. Mimo to zaopatrzenie w sklepach jest na zupełnie przyzwoitym poziomie...

Również z podziwem obserwowałem ich dbałość o historię i własną kulturę. To wręcz zdumiewające, jak wiele dumy narodowej można przekazywać przez całe pokolenia, jak wiele jest tam troski o zachowanie ormiańskości.

To bardzo mądry naród. W tej chwili, na przykład, zauważyłem tam szalony pęd do uczenia się języków zachodnich — zwłaszcza angielskiego i francuskiego. Wiadac, są przewidujący — języki zachodnie potrzebne są przecież do kontaktu ze światem, a oni na ten kontakt liczą. Ich opozycyjna partia, której zjazd odbywał się właśnie w czasie naszego pobytu w Erewaniu, za główne hasło stawia sobie wolność i niepodległość. Podobnie o samodzielności myśli organizacja, utworzona jakby na kształt naszej „Solidarności” i zresztą tak siebie nazywająca.

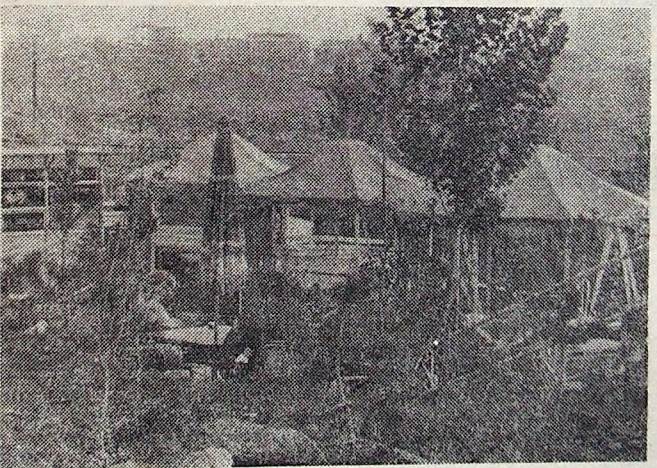
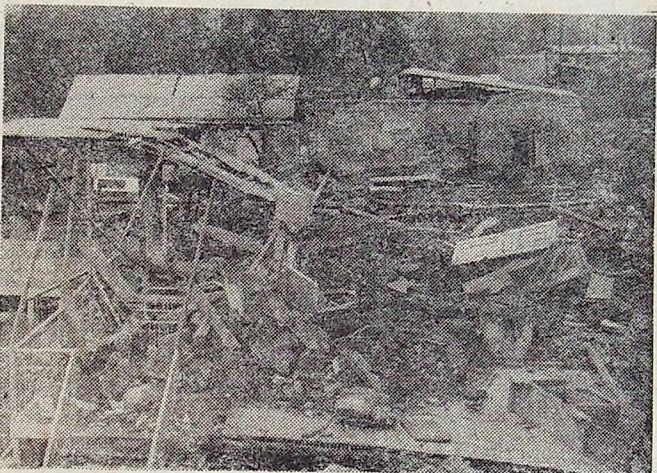
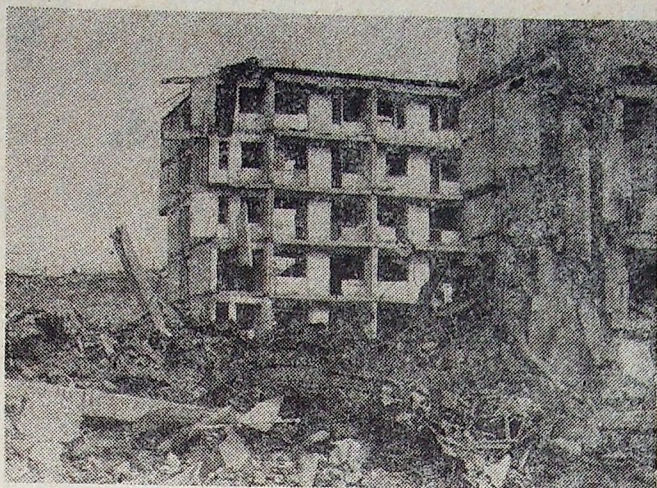
Tam nie tylko myśli się o niepodległości i samodzielności, ale i czyni kroki konkretne. Kilka dni przed naszym wyjazdem przebywała w Erewaniu grupa biznesmenów amerykańskich pochodzenia ormiańskiego. Obiecali poważne wsparcie finansowe samodzielnemu państwu ormiańskiemu, a nawet — w przypadku uzyskania przez Armenię pełnej niezależności — powrót do ojczyzny przodków...

Ta własna ojczyzna jest zresztą na ustach wszystkich. Młodzi Ormianie, nad którymi „wisi” wojско, przeprowadzają głodówki. Ale wcale nie dlatego, że nie chcą odbywać służby wojskowej! Nie! Oni chcą pójść do wojska, ale pod jednym warunkiem — aby służyć w Armenii i dla Armenii.

Ormianie mówią, że będą przedostatnim narodem, który odzyska wolność i że ostatnim będzie Rosja. Uważają jednak, że wyłamanie się z klęski stalinowskiego komunizmu może nie być u nich tak spokojnym procesem jak u nas. W Polsce, ale że jednak nastąpi.

I taka — w olbrzymim skrócie — jest Armenia dzisiaj — gorąca i serdeczna dla przyjaciół, zacięta wobec wrogów, rozpolitykowana (mityngi w Erewaniu trwają od rana do późnej nocy!), marząca o wolności, niepodległości i demokracji...

Wrażenia BOGDANA NUCIŃSKIEGO spisała Anna Borska



Zdjęcia Józef Dwójak.



Nasi w Grecji

JAN KURASZ

Dotychczas pisaliśmy dość często na naszych łamach o eksportowych wyczynach Zakładu Budowy Kopalń. I nie ma się czemu dziwić, bo w zasadzie tylko ta jednostka KGHM mocno się usadowiła poza granicami Polski. Wiele wskazuje na to, iż teraz coraz częściej przyjdzie nam też informować o eksportowej działalności innego kombinackiego zakładu — ZRG.

Zakład Robót Górniczych miał wielką ochotę wejść na obce rynki już parę lat temu. Jego emisariusze „zaatakowali” Turcję, gdzie chcieli podjąć się budowy tunelu kanalizacyjnego. Ale — jak się okazało — zdobycie kontraktu nie jest sprawą prostą, zwłaszcza gdy w przetargu uczestniczą renomowane firmy zagraniczne, dysponujące środkami i najnowocześniejszą techniką, znakomitym marketingiem. Szef ZRG mgr inż. Jerzy Lipiński i jego współpracownicy gorzko przeżyli tę porażkę, ale nie załamali rąk. Ze złości zacisnęli zęby i postanowili szukać innych ofert w świecie. Ale niczego konkretnego, niestety, nie było. A nawet, gdy się pojawiały na horyzoncie jakieś propozycje, to konkurenci — lepiej obeznani z międzynarodowymi zwyczajami — byli szybsi. Za to ZRG miał coraz więcej kontrahentów krajowych, którzy przyjeżdżali do Lubina z ciekawymi zleceniami na skomplikowane technicznie roboty. A to np. przedstawiciele elektrowni prosili o wzmocnienie fundamentów pod wielkimi blokami energetycznymi. A to dyrekcja DOKP zlecała modernizację tuneli kolejowych, ale bez wstrzymywania ruchu. Górnicy z ZRG doskonale sobie z tymi pracami radzili, zdobywali doświadczenie w nowych specjalnościach, stając się bezkonkurencyjnymi w Polsce. No, a rozgłos w kraju robi też swoje za granicą.

Tym sposobem zakład z LGOM wpadł w oko menedżerom z Centrali Handlu Zagranicznego Budownictwa „Budimex” w Warszawie, do której grecka spółka kapitałowa Odoň and Odostramatón SA — Irys SA zwróciła się z ofertą wykonania prac związanych z budową tunelu drogowego Metsovo. I taka jest geneza zagranicznego debiutu Zakładu Robót Górniczych. Nim do tego doszło, trwały długie pertraktacje między stronami polską i grecką, a nawet gdy doszło do parafowania umowy, trzeba było jeszcze parę miesięcy czekać na akceptację głównego zleceniodawcy — greckiego Ministerstwa Robót Publicznych. Trwało to tak długo i wszystko wisiało na włosku w związku z niestabilną sytuacją polityczną tego kraju, wyborami parlamentarnymi i trudnościami ze sformowaniem nowego rządu i dojściem do władzy nowych sił. Urzędnicy ministerialni nie wiedząc, na czym siedzą, zwlekali z podjęciem ostatecznej decyzji. Ale, jak mówi przysłowie, co się odwlece to nie uciecze. Wreszcie wszystkie formalne przeszkody zostały pokonane i w II połowie lipca br. pierwsza, kilkunastoosobowa grupa górników ZRG pod kierownictwem mgr. inż. Andrzeja Czajkowskiego, szefa kontraktów, mogła udać się do słonecznej Hellady.

Tu, w Grecji, będącej kolebką najstarszej kultury i cywilizacji na kontynencie europejskim, lubinianie uczestniczyć będą w realizacji międzynarodowego przedsięwzięcia mającego istotne znaczenie dla współczesności tego kraju. Mają wydrążyć tunel drogowy, który jest ważnym elementem autostrady biegnącej od miasta Janina do miasta Trakala. Istniejąca w całej Grecji sieć drogową i kolejową nie zaspokaja potrzeb gospodarczych, a zwłaszcza szybko rozwijającego się ruchu turystycz-

nego. Szczególnie ubogo prezentuje się ta sieć w północno-środkowej części kraju. W rezultacie jest to najbardziej opóźniony w rozwoju i słabo zaludniony pastersko-rolniczy region. Są to tereny góryste i żeby połączyć Janinę z Trakalą nitką autostrady, trzeba się przebić przez zbudowane z łupków i wapieni góry Pindos.

Tunel drogowy Metsovo liczyć ma 3,5 km. Realizacji tego obiektu podjęła się pierwotnie włoska firma Fersera. W latach 1986—1987 wykonała ona z obu stron po 800 metrów. Ale wycofała się, nie mogąc sprostać zadaniu. Paletkę po Włochach przejęła więc ekipa polska. Lubinscy górnicy mają do wydrążenia niespełna dwukilometrowy odcinek tunelu, z tego ponad kilometrowy od strony Malakasi i nieco mniej niż 800-metrowy od strony Anillo. Praca ta ma być wykonana w ciągu 21 miesięcy, a ZRG otrzyma za to 2,5 mln dolarów. Ale to nie wszystko; Grecy widząc dobrą robotę naszych robotników, zlecieli im wiele innych dodatkowych robót, za co zainkasujemy co najmniej pół mln dol.

Pierwsi lubinianie zjawili się na kampie w Malakasi 22 lipca br., aby wspólnie ze stroną grecką wykonać prace przygotowawcze do rozpoczęcia kontraktu. I od razu, jak się mogli przekonać, zaczęły się schody.

Okazało się, iż „Budimex”, który po raz pierwszy występował na rynku greckim, nie bardzo zna panujące na nim zwyczaje i przepisy. Nie załatwił wielu formalności, w tym tak podstawowych, jak uzyskanie zgody na pobyt i pracę Polaków, rejestracja polskiej firmy w urzędach greckich. Co krok napotymano różne kłopoty. Nabiegać się więc musiał inż. Czajkowski po różnych biurach, aby zrobić to, co leżało w zakresie obowiązków CHZB i za co

blergie od ZRG pieniądze.

Pokpił też sprawę greckiej pancer, który nie wykonał na czas tego, co umowa nakładała na jego barki. Nie przygotowano nawet kampu, który trzeba było dopiero remontować i wyposażać.

Również stan przygotowania rozpoczęcia drążenia tunelu strony technicznej pozostawiał wiele do życzenia. Pozostawiono przez poprzedniego wykonawcę urządzenia techniczne powierzchniowe były zdewastowane, bardzo złym stanie znajdowały się również instalacje wewnętrzne tunelu. Do tego konwergencja w tunelu głównym pomiędzy łukami obudowy sięgała 60 cm. Na dokumentację, a nowe rozwiązania techniczne mogą skomplikować wykonawstwo.

Jednym słowem sięć i plakać a Grecy naciskają, by polscy górnicy jak najszybciej przystąpili do drążenia tunelu. Nasi jednak to nie godzą się.

W lipcu, sierpniu i wrześniu wykonują prace uzupełniające zlecenie firmy greckiej, biorąc to dodatkowe pieniądze. Realizacja robót objętych właściwym kontraktem rozpoczyna się dopiero 26 października. Od tego dnia do Barbórki polscy górnicy wydrążyli 12 metrów bieżącej chodnika głównego i 48 mb. chodnika wentylacyjnego.

Na pewno nie są to tak imponujące postępy, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni w LGOM. Ale nie wolno zapominać, że ten był po pracy polskich górników zalepione jest też od stworzonych i warunków techniczno-materiałowych. A z tym jest fatalnie. Zmimo zabezpieczeń przez stronę grecką maszyny górnicze pamiętają czas króla Cwieczka, w szczególności fatalnym stanie technicznym znajduje się węzeł betonowy, kule zaopatrzenie materiałowe. Ale tak planuje się robić miesięczny 50 mb. tunelu głównego i 70 mb. wentylacyjnego.

Na tle pracy grup greckich górników z Lubina imponują inicjatywa, mobilizacja wewnętrzna, waleczność i fachowość. Szybko więc zaskarбили sobie szacunek i uznanie wśród wszystkich ludzi przebywających na tym wielkim placu budowy i w okolicy.

Delegację naszych górników zaproponowano na uroczystości związane z 49 rocznicą napaści faszystowskich Włoch na Grecję, które odbyły się 28 października br. w mieście Kalampaka.

Polacy złożyli wizytę merowi tej miejscowości i zaprosili go na barbórkowe święto.

Na Barbórkę do polskiej bazy w Malakasi przybył nie tylko m. Kalampaki i szef miejscowej policji, ale również dyr. gen. KGHM Mirosław Pawlak i dyrektor ZRG Janusz Lipiński. Przywieźli z sobą z Lubina serdeczne podziękowania, życzenia, a także liczne wyróżnienia, bo sporo górników ponad 60-osobowej grupy otrzymało odznaczenia państwowe, resortowe i regionalne.

Pobyt delegacji KGHM w Grecji wiązał się nie tylko z uroczystościami barbórkowymi, mówionymi też o nowych interesach. Okazało się bowiem, że dla ZRG kroi się na greckiej ziemi nowa robotna. Jedną propozycją dotyczy udziału w budowie czterokilometrowego chodnika wodnego dla hydroelektrowni w północnej części Grecji. Jest i druga propozycja, aby ZRG uczestniczył wspólnie z firmą Proodeftiki SA w przetargu na wykonanie tunelu drogowego w rejonie miasta Messochora.

Bo tak to już jest, że jak raz pokaże na obcym rynku i do brej strony, to kontrahenci zawsze to zauważą. Można więc sądzić, iż ZRG zakotwiczony w Grecji na dobre.

W każdy czwartek tuż za drzwiami mieszkania państwa Tęczów uława się spory tłumek ludzi. Są starzy, mówią głośno, drzwi — jak w każdym bloku — są cienkie, więc u Tęczów słychać cudze opowieści o wojennych losach, tragicznych wydarzeniach, splątanych życiorysach. W sąsiednim mieszkaniu, na pożyczonym od ORMO biurku, Feliks Pawłowski wydaje deklaracje członkowskie Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę Niemiecką. Pan Feliks dwa lata wraz z matką i braćmi przeżył w niemieckim obozie pracy. Pani Stefania Tęcza ponad cztery lata pracowała u niemieckich gospodarzy, na roboty przywieziono także jej męża, Józefa.

— Niech mnie pani nie namawia na wspomnienia o tamtych latach. Nie chcę wspomnień, wszystko we mnie przeciw nim się buntuje — i serce, i nerwy. Cóż, tamto szaleństwo minęło, a mnie nikt nie zwróci do ponownego przeżycia lat młodości. Wspominać tamto poniżenie, pogardę, nienawiść? Po co?

Przez cztery lata słuchała tylko rozkazów, nikt inaczej do niej się nie zwracał, nie wolno było pamiętać, że znała kiedyś słowo: nie. Przez cztery lata nie powiedziała: nie pójdę, nie zrobię, nie potrafię, nie umiem, nie dam rady. Dla gospodarzy nie była młodą dziewczyną, była niewolnicą. Wybrali ją sobie na placu, z transportu dziewcząt i kobiet przywiezionych z Łódzka. Każdy niemieckibauer szukał młodej, silnej, zdrowej polskiej dziewczyny. Jej ręce miały zastąpić w obejściu rece synów, braci, walczyli gdzieś na wschodnim froncie.

Zabrali mnie z domu, mama była bezradna, nie mogła pomóc. Ponad trzy lata pracowałam u ogrodnika, od rana do wieczora, za czternaście i pół marki miesięcznie. Robiłam wszystko, czego wymaga ogrodnictwo, gospodarze byli starzy, więc jeśli trzeba było orać, to musiałam orać, a kie-

dy przyszła pora plewienia, godzinami nie wstawałam z kolan. Byłam pracowita, więc pozwolili mi raz wyjechać na kilka dni urlopu do rodziców. Wiozłam paczkę z żywnością kupioną za zarobione pieniądze, w pociągu ukradli mi ją jacyś Polacy... Potem, kiedy ogrodnik zmarł, trafiłam do innych gospodarzy, pracy przecież wokół nie brakowało. Tuż przed końcem wojny zebrał Polaków, zgrupowali, prowadzili nas wszystkich pod eskortą. Ludzie mówili, że wiedzą nas na zatracenie, że mamy dojść do najbliższego obozu koncentracyjnego, bo Niemcy nie chcą po nas zostawić śladu.

Szliśmy, oni mieli broń, ale koniec wojny był szybszy, uratował nam życie. Później trafiłam do specjalnego obozu, utworzonego przez Amerykanów, niektórzy Po-

dziców, ani brała. A teraz wszyscy mówią, że będą nam płacić odszkodowania za tamte lata. Bo ja wiem... dwa lata temu też tak mówili i nie z tego nie wyszło. Zresztą, jak to wyliczyć, ile nam się za tamtą pracę należy, za to zdrowie stracone, życie wykoślawione. Jaką cenę za to wystawić?

— To nie my będziemy tę cenę wystawiać — mówi Feliks Pawłowski. — Nikt zresztą nie zna przelicznika za każdy dzień odebranego dzieciństwa, za zrujnowane zdrowie, za wykoślawione życie...

Pawłowscy mieszkali nad dawną wschodnią polską granicą. Dom, inwentarz, ponad trzydzieści hektarów urodzajnej ziemi. Przed wrześniem ojca, porucznika Wojska Polskiego, zmobilizowano, matka wiedziała, że bronić będzie

chleba, trochę holzbutter i marmolady. Czasem trzeba było pomagać tym kobietom, które w kuchni gotowały obiad, czyli zupę z brukwi. Jeśli brukiew świeża, to zupa nawet była smaczna, ale jeśli przypadła brukiew suszona, a taka była najczęściej, to z szarych niestrów wygrzebywano grube, tłuste robaki.

Najstarsze dzieci wywożono latem do pracy u gospodarzy.

— To nawet nie było złe, można było się do woli najść. Całymi dniami zrywaliśmy groch, jabłko, nocą zamykano nas w stodole. Nikt nie narzekał, siano tak pięknie pachniało, nie było robactwa.

Młodsze dzieci zazdrościły, też chciały przypomnieć sobie smak jabłek.

— Tuż za barakami, za wąską drogą, w dużym ogrodzie stał spory dom. Jesienią z drzew spadały jabłki, dzieci wciskały twarze między sztachety plotu i patrzyły jak po jabłkach przejeżdżają samochody pełne śmieci, miażdżąc marzenia... O tym, jak wyglądają i jak smakują cukierki, przypomnieliśmy sobie dopiero w maju 1945 r.

Po wojnie pani Pawłowska postanowiła wrócić do kraju, agitatorzy w obozie zachęcali, żeby wracać na swoje. Na swoje nie wróciła, dojechała z dziećmi do Czechowic — Dziedzic, urzędnicy przydzielili po 100 zł i nakazali jechać do Zabkowic, tam się osiedlić.

— Przez wiele lat szukaliśmy ojca, korespondencja z wieloma biurami poszukiwań była bardzo obszerna. Podano nam informację o kimś, kto wprawdzie nazywał się tak, jak ojciec, ale urodził się kiedyś indziej, więc mimo urzędowych stwierdzeń my nadal nie ustawaliśmy w poszukiwaniach prawdziwego ojca. Mama zmarła w 1985 r., nie znając losów swego męża. Ja dwa lata temu, przypadkiem, przeglądając listę katyńską, odnalazłam na niej ojca.

I pani Stefania, i pan Feliks są członkami lubińskiego oddziału Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę Niemiecką. Oddział mieści się przy ul. Mickiewicza 61/2, w każdą środę i czwartek wszyscy zainteresowani w godz. od 16 do 18 (tel. 44-30-30) mogą uzyskać stosowne informacje. Celem stowarzyszenia jest, na podstawie udokumentowanych faktów przymusowej pracy w III Rzeszy, ubieganie się o odszkodowanie ze strony RFN. Odszkodowanie takie, jak się przypuszcza, już wkrótce wypłacane będzie bezpośrednio ludziom, uznanym przez stowarzyszenie za poszkodowanych. Potwierdzenie pobytu w obozie pracy przymusowej można uzyskać w następujących instytucjach:

• Internationaler Suchdienst, D-3538 Arolsen, RFN.

• Zentrale Stelle der Landesjustizverwaltungen, 7140 Ludwigsburg, Schorndorferstrasse 58 RFN.

• Deutsches Rotes Kreuz der Deutschen Demokratischen Republik, Generalsekretariat, Zentraler Suchdienst, 1080 Berlin, Mauerstrasse 53.

• Polski Czerwony Krzyż, Zarząd Główny, Biuro Informacji i Poszukiwań, 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 14.

Do instytucji niemieckich można pisać w języku polskim. Wszelkich dodatkowych informacji udziela lubiński oddział Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę.

Splątane życiorysy

BOGUSŁAWA MACHOWSKA

lacy chcieli wracać do kraju, inni czekali na swoją kolej i transport za ocean. Mnie było wszystko jedno, dokąd pojedę, od ponad roku nie miałam odpisu z Polski, gdybym wiedziała, jak odnaleźć siostrę w Stanach, to pewnie pojechałabym do niej. Życie ułożyło się inaczej, w obozie poznałam męża, pobraliśmy się, mąż bardzo chciał wracać do Polski. I wróciliśmy, a ja nie odnalazłam ani ro-

twierdzy w Sarnach. Ślad po nim zaginął, przez pierwsze lata wojny nie mieli o ojcu żadnych wiadomości. W 1943 r. Genowefę Pawłowską i trzech jej synów Niemcy wysłali do obozu pracy w Coburgu.

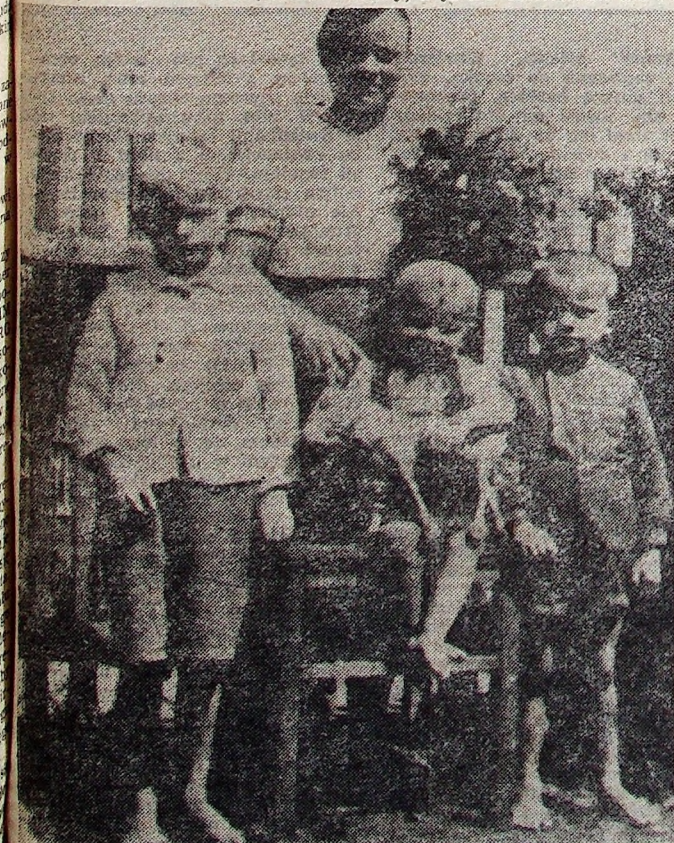
— Zamieszkaliśmy w barakach, wystawionych na części wysypiska śmieci. Obok baraków teren nieco uporządkowano, ale zaraz za ogrodzeniem nadal wywożono i palono śmieci z miasta. Matka, tak jak i inne kobiety, pracowała w fabryce waty szklanej. Drobinę waty wdierały się w pory skóry, raniły kobiety boleśnie. Rany nie goiły się, jęczono każdego dnia od nowa.

— Dzieci kąpały się razem z matkami, pamiętam widok poranionych piersi, pachwin, ran w załamaniach skóry. Pamiętam ciągle smród, woń gnijącego ciała tych kobiet... Baraki stały na śmietniku, więc były szczury, myszy, pluskwy i wszelkie fobactwo. Pluskwy miały wygodę, mogły karmić się wprost na tych świeżych ranach, nie musiały gryźć. Fryce ratowali nas przed robactwem, wyginali z baraków na dwa dni, spaliliśmy na deskach, ułożonych na ziemi a oni prowadzili dezynfekcję. Skutkowało na dwa, trzy tygodnie...

Nie wiadomo, dlaczego do tego obozu przywieziono kobiety z małymi dziećmi. Feliks był jednym z najstarszych, więc wraz z innymi chłopcami i dziewczynkami pilnować miał najmłodsze dzieci, żeby nie wychodziły z baraku. Nie wolno było kłębić się po obozie, bo kuternoga, tak nazywali komendanta, ranionego i odesłanego z frontu, więc ten kuternoga surowo karał maluchy.

— Trzeba było uważać na dzieci, żeby same nie wychodziły do latryny. Jedno już się tam utopiło, więc matki drżały o swoje maluchy.

Jeśli komendant kazał, to dzieci specjalnym wózkiem przywozili z miasta lichą żywność: ot, trochę



Genowefa Pawłowska z dziećmi w obozie pracy w Coburgu w 1944 r. Repr. Jerzy Kosiński

13 GRUDNIA 1981 (2)

Strajk, który rozpoczęliśmy 14 grudnia był inny niż ten z osiemdziesiątego roku. Wtedy była cała lista postulatów. Tym razem chodziło o przywrócenie wolności związkom. Poczucie, że brutalnie łamane są prawa, każe ludziom trwać w zakładzie.

W osiemdziesiątym roku była dyskusja; teraz wiadomo było, że nie może dojść do dogadania się na płaszczyźnie zakładowej. Nie pamiętam, w którym dniu strajku, bodajże drugim, komisarz zakładu płk Majewski zwrócił się do załogi z odezwą. Ludzie zareagowali symptomatycznie — zaśpiewali hymn. Były też rozmowy komitetu strajkowego z dowódcą ZOMO i oddziału wojskowego, ale miały one na celu raczej wzajemne wybadanie się — czego może się jedna strona po drugiej spodziewać. Pozornie chodziło o dogadanie się, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że oni mają swoje rozkazy i żadnych upoważnień do samodzielnego decydowania.

„Rudna” obstawiona była przez posterunki wojska. ZOMO — tylko od czasu do czasu manifestowało swoją obecność przejeżdżając zwartą kolumną. Pamiętam, kiedyś przyszło do bram zakładu dwóch wojskowych: oficer i podchorąży, zapytali czy mogą dostać do picia coś ciepłego. Powstał dylemat: czy przyszli do nas w jakimś określonym celu, czy też naprawdę są zmarznięci. Nie było czasu na rozważania. Zdecydowałem, że trzeba ich wpuścić, ale przeprowadzić przez zakład tak, aby nic nie widzieli. W kuchni dostali ile tylko chcieli: herbaty, jedzenia, a nawet jeszcze trochę prowiantu zapakowaliśmy im dla kolegów. Widziałem, że wojskowi byli poruszeni tym, że nikt tu ich nie uważa za wrogów. To, że oni byli tam, a my tu, wynikało przecież z reguły, którym wszyscy byliśmy podporządkowani. Gdy opuszczali zakład, któryś z naszych gości, chyba oficer, odwrócił się i powiedział — jak będziecie wychodzić z zakładu, to idźcie prosto na nas. W tych słowach zawarł, że i oni nie są naszymi wrogami, że nie będą do nas strzelać.

Zdarzyło się, że przy jednym stole ale po przeciwnych stronach zasiadli członek komitetu strajkowego — strażak z „Rudnej” Staszek Sabat i jego kuzyn — oficer MO...

Strajkujący byli zdyscyplinowani, bardzo zaradni, tylko z najważniejszymi sprawami zwracano się do mnie. Chociaż był taki moment, że włosy zjeżyły mi się na głowie. W warsztatach zrobiono kopię „erkaemu” — tak dobrze, że wyglądał jak prawdziwy. Zaczęło przygotowywać łańcuchy zakończone kulami, zastrzone kije. Grupa żądnych walki przyszła mi się tym pochwalić. Gdy to wszystko zobaczyłem, zrobiło mi się słabo, spokojnie jednak zacząłem tłumaczyć, że wojsko nie będzie widziało z daleka, że „erkaem” jest tylko makietą. Kazałem im to wszystko zniszczyć. W zakładzie nie było więc nic, co by świadczyło o chęci siłowego rozwiązania. Uważałem, że nie wolno podejmować takich akcji. Przecież my jesteśmy robotnikami, broniemy swojego warsztatu pracy przed aneksją i nie mamy prawa używać broni. I dobrze się stało, że to ludzie zrozumieli. Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, mogłoby się stać to samo co w kopalni „Wujek”. Nie chodziło nam — strajkującym — przecież o bohaterów, bo ci są najczęściej martwi, ale o to, aby wszyscy w jak najlepszej kondycji przetrwali tak długo jak się dało, aby uduku mentować zasadność swoich roszczeń.

Udało się nam to osiągnąć. Przy wychodzeniu z kopalni, gdy rozbijano strajk, nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń. Dopiero później, już w Polkowicach, nie jeden dostał pałką. Sam byłem podobny do pingwina, bo cały czas polewała nas armatka wodna, a mróz był trzaskający.

Wychodziliśmy z zakładu 17 grudnia około szóstej rano. Wcześniej nasze punkty obserwacyjne doniosły, że ZOMO szykuje się do ataku, mieliśmy więc trochę czasu, aby się przygotować. Postanowiliśmy zadziałać tak, aby furia atakujących została rozproszona na naszych zabezpieczeniach w cechowni. Pozostała tam grupa ratowników górniczych ubranych jak do akcji pod ziemią. Gdy zaczę-

się za ręce. Gdy tylko skończył się las pobiegliśmy na przelaj przez pole. Nasz „opiekunowie” nie spodziewali się takiego manewru. W efekcie stanęli zaskoczeni. Przez rów nie mogła przejechać ani armatka, ani „skot”. Oddział ZOMO był zbyt mało liczny, aby ruszyć za nami w pościg. Co innego popędzać zwarty tłum, co innego gonić dorosłych mężczyzn po polu. Zanim dowódcy zorientowali się co się dzieje, byliśmy już w Polkowicach. Do dziś nie wiem, czy były te autobusy na drodze, czy też nie.

Przez ulice Polkowic szliśmy spokojnie. Nie chcieliśmy wywoływać rewolucji ani też niczego demolować. Szybko jednak otoczyli nas komandosi i zaczęli okładać pałkami, rzucać granaty łzawiące. Pochód rozproszył się, a ludzie kryli się gdzie mogli. Część pobiegła do kościoła, innym pomogli

Pierwszą sprawę miałem za udział i przywództwo w strajku w kopalni „Rudna”. Dostałem dwa lata pozbawienia wolności w zawieszaniu na trzy lata. Przed drugą sprawą za nielegalny druk ulotek raz po raz mnie zamykano, rewizje w domu były na okrągło. Czasy jednak zmieniły się i za kolportaż nielegalnych wydawnictw przed sądem już nie stanąłem.

Gdy szukałem pracy, w dziesięciu głogowskich zakładach pokazałem mi drzwi. A musiałem pracować, gdyż żonę zwolniono z pracy i zostaliśmy bez środków do życia. Wreszcie zatrudniono mnie w Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, ale zarabiałem straszliwie mało. Udało się jakoś przenieść do PKP. W 1986 roku, jakimś cudem, zatrudniono mnie w Hucie Miedzi „Głogów”. I tak, nie ze swojej chęci zamieniłem kopalnię na hutę.



Polkowice 14 grudnia 1981...

Zdjęcie z archiwum Krzysztofa Raczkowiaka

Obrachunek z sobą

ly wpadać pierwsze granaty łzawiące, górnicy wychwytywali je i wyrzucali na zewnątrz. Tego zomowcy się nie spodziewali, a my mieliśmy czas na spokojne opuszczenie zakładu. Przewodnicy dobrze znanymi sobie przejściami przez Zakład Wzbogacania Rudy prowadzili ludzi grupkami. Wszystko odbywało się w ciemnościach, bo nie chcieliśmy zdradzić gdzie jesteśmy.

Komandosi zastali tylko puste szatnie i zapasy jedzenia. Wywołało to w nich agresję, wręcz furję, rozbijali wszystko, co wpadło im w ręce. Wiem o tym, bo obserwowała ich grupa górników ukryta w zakamarkach kopalni. Te zniszczenia przypisano później, w sądzie, nam — strajkującym.

Wyszliśmy na drogę prowadzącą od Żelaznego Mostu do kopalni „Rudna”. Początkowo zaplanowaliśmy, że udamy się w kierunku miasta. Nie udało się, bo ZOMO szybko przemieściło się i zastawiło nam drogę. Kolumnę skierowano na drogę prowadzącą do wiaduktu w kierunku Lubina. Informowano nas, że tam czekają autobusy, które spokojnie zawiozą wszystkich do domów. Nie bardzo w to wierzyliśmy. W naszej świadomości pojawiły się obrazy chilijskich obozów. Nie chcieliśmy iść, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Z jednej strony „Rudna” z drugiej las, za nami oddział ZOMO w pełnym uzbrojeniu pilnował, aby ktoś nie uciekł. Towarzyszyli nam armatki wodne. Po kilku chwilach ledwie mogliśmy się poruszać, ubranie chrzęściło na nas. Szliśmy trzymając

mieszkańcy miasta. Otwierali drzwi, zapraszali do środka, częstowali gorącą herbatą, proponowali, aby zostać na noc. Każdy jednak rwał się do domu. Ja na widzenie z rodziną musiałem poczekać kilka miesięcy. Tak zakończył się strajk na „Rudnej Główniej”. Szyb Zachodni trzymał się dłużej, a to dlatego, że gdy uprano się z nami, przerzucono tam siły porządkowe.

Noc z 17 na 18 grudnia spędziłem u znajomych w Polkowicach. Później był łańcuch ludzi, którzy załatwiali kwatery, przejazdy. Wielu zwykłych, wspaniałych ludzi pomagało takim jak ja... 19 grudnia rozwiązano zakład i wszyscy pracownicy „Rudnej” dostali wypowiedzenia, ja swojego oczywiście nie odebrałem. Ukrywałem się do drugiego dnia Świąt Wielkanocnych, gdy zostałem aresztowany we Wrocławiu. Dlaczego się ukrywałem? Nie dlatego, że się bałem odpowiedzialności, uważałem, że nie wolno pozwolić na stłamszenie tego, co się narodziło i co próbowano nam 13 grudnia odebrać. Redagowałem razem z kolegami odezwę, ulotki. Przyznam, że bał sięm się o ludzi, którzy pomagali nam. Maszyna do pisania robi hałas, a wtedy wydawało się, że za każdym węgłem czai się funkcjonariusz SB. Ja i inni zaangażowani mocno w strajk i tak nie mieliśmy już nic do stracenia, ale pomagali nam ludzie, którzy mieli w „bezpieczeń” czyste konto.

Jak już wspominałem, aresztowano mnie przypadkowo, w Świąta Wielkanocne. Później były cele na Podwalu, w Legnicy, Lubinie.

Ta opowieść jest moim obrachunkiem z samym sobą, zamknięciem pewnego okresu mego życia. W 1984 roku zetknąłem się ze Świadcami Jehowy. Na początku rozmawiałem z nimi z pozycji katolika, który uważa, że jego religia cieszy się uznaniem Boga. Ale później poczułem potrzebę gruntownej podbudowy. Zaczęłem czytać Biblię. Nie podejmowałem wtedy rozważań, że albo religia, albo polityka. To było dla mnie nierozłączne. Czulem tak jak większość członków „Solidarności”, że powstał pewien ruch społeczny, a religia, Kościół katolicki ma w nim swoje miejsce. Ale w trakcie wnikania w nauki Jezusa, rozmów ze Świadcami Jehowy, stwierdziłem, że to wszystko czego szukałem w „Solidarności” jest w o wiele większej skali w Piśmie Świętym. Prawda — ta społeczna, polityczna, którą wyznawałem będąc członkiem „Solidarności” jest subiektywna, a w Piśmie Świętym znalazłem prawdę obiektywną, mówiącą o człowieku i o tym, że Bóg ma konkretne zamierzenia wobec niego.

Okres „Solidarności” był pewnym doświadczeniem pozwalającym mi zrozumieć istotę dążenia człowieka do szczęścia, godności. Dziś już nie zajmuję się polityką, mam w życiu do spełnienia inne zadania. Realizuję je jako Świadek Jehowy, więc proszę nie pytać mnie już więcej o „Rudną” z 13 grudnia 1981 roku.

Opowiadał
ANDRZEJ POROSZEWSKI
Notowała Bożena Kończal

● Nie jestem fachowcem z branży, więc nasza rozmowa nie będzie się toczyć wokół tematów czysto sportowych. Chciałbym natomiast podyskutować o życiu profesjonalnego futbolisty, zajrzeć za kulisy wielkiej piłki nożnej. Przeciwny zjadacz chleba postrzegasz — piłkarzy — jako kastę ludzi wyjątkowo uprzywilejowanych, takich, którzy to pobiegają 90 minut po boisku i biorą ciężkie pieniądze. Zaś poza boiskiem wiedzą kszmitny żywot, bawiąc się na treningach i spędzając mile czas na zagranicznych obozach kondycyjnych.

— Jest to głęboko zakorzeniony stereotyp, tyle krzywdzący co i nieprawdziwy. Życie piłkarza wcale nie jest takie aksamitne, jak się tym powszechnie sądzi. Jest to niezwykle ciężka praca, wymagająca wielu wyrzeczeń i poświęceń. Nie ma tu żaden zawód nie stawia tak wysokich wymagań, nie wiąże się tak dużym ryzykiem, nie przysporza tylu stresów, co właściwie pilarsstwo. Nie przypadkiem mówi się, że piłkarzem trzeba się urodzić. Przeciwny człowiek nie wytrzymałby wszystkich obciążeń związanych z wykonywaniem tego celu. Choćby dlatego, że aby coś osiągnąć, trzeba się bez reszty poświęcić. Życie rodzinne, przyjemności muszą zejść na dalszy plan. Najogólniej mówiąc jest to życie na walcach, wtłoczone w reżim treningów, ligowego kalendarza i obozów szkoleniowych. Na prywatność zostaje bardzo mało czasu.

● Stwierdził pan, że piłkarstwo to niezwykle ciężka praca, wymagająca wielu wyrzeczeń i poświęceń. Zgoda. Nie jest to chyba jednak powód do uzalania się nad własnym losem. Przecież zawodnik bierze się świadomie. W pańskim przypadku, jak sądzę, też był to wybór świadomy, bo przecież nie stał pan piłkarzem w wyniku tego okoliczności?

— Oczywiście, że nie. Jednak tego okoliczności było sporo. Przyjechaliśmy do Lubina, kiedy miałem osiem lat, bo ojciec dostał pracę na szybie „Bolesław”. Tak jak wielu moich rówieśników ugałębiałem się na piłkę. Ale nigdy nie myślałem, żeby się zapisać do klubu. W końcu jednak trafiłem do szkoły piłkarskiej „Zagłębie”, namówiony przez kolegów. Trener Markowski, który wówczas zajmował się szkoleniem piłkarskiego narybku, nie miał mi wielkich szans. Uważał, że jestem za mały. Nie przejmowałem się tym zbyt, ponieważ wielką frajdą był dla mnie udział w treningach i meczach. Lubiłem się tylko radość z kopania piłki. W roku 1972, kiedy miałem siedem lat, dostałem legitymację. Była wielka nobilitacja w oczach kolegów z podwórka. Jednak wówczas, ani później nie myślałem o piłkarskiej karierze. Skończyłem podstawówkę, poszedłem do Technikum Górniczego Rud. Ucząc się solidnego fachu, a w piątek grałem dla przyjemności. Kiedy miałem siedemnaście lat trener Swierka poprosił mnie na rozmowę. Powiedział: „Romek, jesteś matką zalew, na bardzo dobrego piłkarza. Zrobisz karierę. Ale musisz podjąć decyzję — albo szkoła, albo piłka”. Rozmawiał też z moimi rodzicami, bo przecież szło o bardzo ważną decyzję. Ostatecznie wybrałem piłkę. I to był początek mojego profesjonalizmu.

● Rzeczywiście kosztem szkoły? Nie. Przed południem uczyłem się grać w piłkę, a po południu w laboratorium technikum. Po przerwie na czas. To była konieczność. Zresztą szybko przekonałem się, że zostając dobrym piłkarzem, nie jest to prosta sprawa. Kończyłem piłkę, ale na zajęciach tak się walczyłem w kosie, że często zapadałem na chwilę w stanie szoku. Wszystko wytrzymałem.

● Ale wytrzymał pan i — co jest faktem — spełniły się słowa trenera Swierki. Romuald Kujawa

został bardzo dobrym piłkarzem. W rankingu katowickiego „Sportu” zajął pan po I rundzie pierwsze miejsce. Można więc powiedzieć, że jest pan najlepszym polskim piłkarzem jesieni. Nie przypadkiem i nie za darmo. Jaka jest cena tego sukcesu?

— Taka, że częściej mnie nie ma w domu niż jestem i tyram jak wół na treningach. Podczas zajęć trzeba wybiegać dziesiątki kilometrów, wykonać mnóstwo ćwiczeń siłowych i sprawnościowych. Jest to ciężka, fizyczna praca, która wcale nie sprawia przyjemności. Ale trzeba ją wykonać, jeśli chce się dobrze grać. Ale to nie wszystko. Każdy normalny człowiek może sobie pozwolić na wiele rozrywek, przyjemności. Ja niemal wszystkiego muszę sobie odmawiać w trosce o formę. Jeśli chcę się napić piwa, to pytam trenera o pozwolenie. On wie najlepiej, czy mi wolno, czy nie. Czasem pozwa-

la, ale rzadko. Nie mogę, tak jak inni, pójść do kawiarni czy restauracji, po prostu na kawę, jak każdy normalny człowiek. Nie mogę, bo jestem specyficzną osobą publiczną, która gdy się tam pokaże ma z miejsca dorobioną legendę: „Był w knajpie i pił!”

● Z pewnością, ale też prawdą jest, że pan i koledzy otrzymujecie za to wysoką rekompensatę. Wysokie zarobki, premie, talony na samochody... Proszę zdradzić, ile pan zarabia?

— Z pewnością dużo więcej niż przeciętnie w gospodarce. Prawdą jest także, że piłkarz pierwszoligowy jest problemem otrzymuje mieszkanie, samochód czy telewizor kolorowy. W nabyciu tych dóbr pomaga mu klub. Przeciwny człowiek może mu tego zazdrościć. Ale podejrzewam, że ten sam przeciętny człowiek nie chciałby się z piłkarzem zamienić. Już może nie na ciężką pracę, jaką wykonujemy, ale na ryzyko, jakie się z nią wiąże. Powszechnie wiadomo, że finansowanie i organizacja polskiego sportu opiera się na wariackich papierach. Oficjalnie jestem zatrudniony w kopalni, a pracuję przecież na boisku, jako piłkarz. Jako piłkarz nie mam związku zawodowego, który broniłby moich interesów. Jako piłkarz nie mogę dopracować się emerytury. A kariera w futbolu trwa kilka, rzadziej kilkanaście lat... Jeżeli kilkanaście lat gra się w piłkę, to nie umie się robić niczego innego. Po zakończeniu kariery zaczyna się więc życie od początku. I nigdy nie wiadomo jak się ono ułoży. Na Zachodzie piłkarz, który

odchodzi z zawodu, ma na koncie tyle, że nie musi się martwić o przyszłość. I to jest reguła. U nas bywa bardzo różnie. Nie ma się pewności jutra. Dzisiaj jestem zdrowy i w dobrej formie. Jutro mogę odnieść kontuzję, która mnie wyeliminuje z futbolu na zawsze. I co wtedy? O tym nie można nie myśleć. Moim zdaniem właśnie niepewność socjalna jest główną przyczyną wyjazdów naszych piłkarzy za granicę.

● Czy pan również marzy o karierze w zagranicznym klubie?

— I tak, i nie. Na razie moim największym marzeniem jest gra w pierwszej reprezentacji Polski. Dla piłkarza jest to największe wyróżnienie. To nobilituje i sprawia, że przechodzi się do historii. A przecież każdy chciałby zostać po sobie jakiś ślad, ja także. W zagranicznym klubie chciałbym kiedyś występować z dwóch powodów. Po pierwsze — żeby spraw-



Fot. Jerzy Kosiński

Z ROMUALDEM KUJAWĄ, piłkarzem MKS „Zagłębie” Lubin, rozmawia Janusz Dobrzański.

dzić moje umiejętności w konfrontacji z zachodnimi profesjonalistami. Zresztą chyba każdy sportowiec marzy o zmierzeniu się z najlepszymi. I po drugie — także dla pieniędzy. Muszę przecież myśleć o przyszłości. Nie myślę jeszcze o zakończeniu kariery, bo na to grubo za wcześnie.

● Od dłuższego czasu mówi się o profesjonalizmie w polskim futbolu. Kiedy, pańskim zdaniem, mogłoby to nastąpić i czy prawdziwy profesjonalizm zmieniłby obraz polskiej piłki nożnej?

— Myślę, że gdyby oprócz go o zasady obowiązujące w zachodnioeuropejskim futbolu, to z pewnością wiele zmieniłoby się na korzyść. Jest to po prostu prosty i logiczny system oparty o zasadę — coś za coś. Najlepsi zarabiają wielkie pieniądze. W sposób naturalny występuje więc ostra rywalizacja. A to rodzi stały postęp i profesjonalizm najwyższego lotu. Nie sądzę jednak, aby w Polsce w perspektywie najbliższych lat udało się wprowadzić podobny system. Jeżeli bowiem w ciągu czterdziestu paru lat nie udało się wypracować i wdrożyć prostych i jasnych zasad sponsorowania sportu przez przemysł, i do dziś jest to istna dżungla, to trudno uwierzyć, aby udało się z futbolem.

● Życzę panu wiele piłkarskiego szczęścia i dziękuję za rozmowę.

LISTY

„KOMU MARIU”

Gmina Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” w Polkowicach działając na podstawie przepisów zawartych w art. 6 ustęp 2 i w art. 31 pkt. 1 Ustawy z dnia 26.01.84 r. — prawo prasowe (Dz. U. nr 5, poz. 24) przedstawia poniżej wyjaśnienia dotyczące notatki prasowej zamieszczonej w „Polskiej Miedzi” z dnia 2.11.1989 r. pt. „Komu Mariu”, a mianowicie:

1. Anonimowy autor przedmiotowej notatki popełnił w niej szereg błędów formalnych i merytorycznych a nadto podał informacje nie odpowiadające faktom. Spółdzielnia jest nie tylko gospodarką, o której mowa w tytule, lecz także właścicielem. Nie, prawdą jest, że w Domu Handlowym „Maria” jest zaledwie kilka mizernie zaopatrzonych stoisk, jest natomiast wiele stoisk, ile obowiązuje w tej mierze przepisy przewidują, również nieprawdą jest, że stoiska te są mizernie zaopatrzone, jeśli się zważy, że za 10 miesięcy br. obrót Domu Handlowego „Maria” wyniósł 1.150.000 tys. złotych.

2. Dla pełnego stanu faktycznego podaje się, że także krytykowany nieścisłonie Dom Handlowy przez anonimowego autora, sprowadza towary z kilku firm zagranicznych, jak VOST Agencja Handlowa Spółka z o.o. Warszawa, FUREX Przedsiębiorstwo Zagraniczne Łódź — importowane towary z Belgii, Danii, RFN.

3. Prawdą natomiast jest, że mimo szerokiej działalności odpowiednich służb zaopatrzeniowych, w tym spółdzielni — podaż towarów przy istniejącym popycie jest niewystarczająca. Jednakże przyczyną tego stanu rzeczy jest chorą gospodarką i rozregulowany rynek, a nie wadliwa praca tej spółdzielni.

4. Z notatki wynika, że jakiś mieszkaniec zachęcił anonimowego redaktora do złożenia wizyty w Domu Handlowym „Maria”. W tym miejscu pragniemy zauważyć, że do zarządu tej spółdzielni zgłaszają się dziesiątki mieszkańców — członków tej spółdzielni, którzy podnoszą zarzuty i to zasadne pod adresem gazety „Polska Miedź”, której pan jest naczelnym redaktorem. Ze tygodnik ten powołuje zainteresowanych się problemami ludzi, którzy zrujnowano obiekty w wyniku wstrząsów sejsmicznych związanych z robotami górniczymi oraz że procesy odszkodowawcze w tych sprawach toczą się po wiele lat a tygodnik „Polska Miedź” nie uznaje za stosowne zainteresować się tymi problemami.

Proponujemy zatem redakcji rozważenie kwestii zainteresowania się wspomnianymi wyżej szkodami górniczymi oraz przyczynami chorej gospodarki.

Stosownie do przepisu zawartego w art. 31 pkt. 1 cyt. wyżej ustawy, żądamy zamieszczenia niniejszej odpowiedzi w tygodniku „Polska Miedź” bezpłatnie.

Prezes GS „Sch”
w Polkowicach
STEFAN KOTAPSKI

Od redakcji: Gratulujemy panu prezesa dobrego samopoczucia. Zamiast redakcyjnego komentarza zamieszczamy poniżej list naczelnika Polkowickiej poruszony przez nas sprawie. Co się zaś tyczy podniesionej przez pana kwestii szkód górniczych, z którą podobno mieszkańcy Polkowick tak gremialnie przychodzą do zarządu spółdzielni, bo rzekomo nasza redakcja tym się nie zajmuje, odsyłamy pana do artykułu Macieja Gągla zalewskiego pt. „Wielka improwizacja” zamieszczonego w „PM” z 13 lipca 1989 r. traktującego m.in. o tym właśnie problemie.

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w waszej gazecie z dnia 2.11.1989 r. pt. „Komu Mariu” wyjaśniamy co następuje:

Działalność handlowa jaką prowadzi Gmina Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” w Polkowicach jest od dłuższego czasu przedmiotem krytyki Narodowej jak i pozostałych mieszkańców naszego miasta. Kierowane do spółdzielni liczne wystąpienia i postulaty o poprawę zaopatrzenia i rozszerzenie asortymentu sprzedawanych towarów nie znajdują żadnego zrozumienia. Wręcz przeciwnie, zarzuca się tutaj radnym jak i władzom Polkowick ingerencję w wewnętrzne sprawy spółdzielni.

Całkowicie zgadzamy się z opinią autora zamieszczonego artykułu, iż polkowickiej spółdzielni wcale nie zależy na handlowaniu. Niemniej, władze oddziaływały organów państwowych w działalność gospodarczą spółdzielni jest bardzo ograniczone. Tutaj urząd zmierza zatem poprzez wypracowanie umów dzierżawy obiektów zajmowanych przez GS „Sch” do przekazywania ich gestorom, dla których handel, a nie liczenie na przetrwanie jest istotą działalności.

Nadmieniam, iż Dom Handlowy „Maria” jest własnością Gminnej Spółdzielni „Sch” w Polkowicach, wobec czego może spółdzielnia ta skorzystać z propozycji zamieszczonych w artykule.

Naczelnik
miasta i gminy Polkowice
mgr BOLESŁAW KOCWA

OD TURYNU DO LUBINA

Od wielu dziesięcioleci Zgromadzenie Salezjańskie pełni swe posłannictwo w różnych punktach kuli ziemskiej. Jednym z takich miejsc na mapie świata, gdzie księża salezjanie już 40. rok prowadzą bogatą działalność religijno-duszpasterską, jest ziemia lubińska. Obchodzony w tych tygodniach jubileusz stanowi okazję do przypomnienia historii, dorobku i pracy synów św. Jana Bosko w krainie miedzi.

☆
To właśnie ten niezwykle człowiek, ksiądz i wreszcie święty żyjący w XIX wieku we Włoszech, założył w Turynie Zgromadzenie Salezjańskie. Jan Bosko, będąc młodym księdzem zainteresował się biedną młodzieżą, która ani nie uczęszczała do szkół, ani nie miała pracy, tworzyła bandy rabunkowe. Dzięki swemu charyzmatowi i osobowości zgromadził tych chłopców wokół siebie. Organizował dla nich zabawy, a jednocześnie przysposabiał do pracy. Uczył ich także wiary i religii.

Jako ksiądz doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nowa era w życiu ludzkości nie powstanie w wyniku przeobrażeń politycznych, przewrotów czy wojen, lecz wtedy, gdy na scenę wejdzie nowy rodzaj ludzi. I właśnie takiego człowieka chciał ukształtować. Z myślą o tym zakładał pierwsze w świecie szkoły zawodowe, w których na masową skalę zdobywali zawód ludzie ubodzy. Tu ich uczono nowej hierarchii wartości, właściwego traktowania drugiego człowieka.

Z biegiem czasu wokół księdza Bosko gromadzili się młodzi chłopcy, którzy szli potem w jego ślady, wstępując do seminariów duchownych. Po otrzymaniu święceń kapłańskich wracali i podejmowali współpracę z Janem Bosko.

Jeszcze za życia księdza Bosko, do utworzonego przez niego Zgromadzenia Salezjańskiego, wstąpiło też trzech Polaków. Jednym z nich był ksiądz August Czartoryski, który — jako syn arystokraty — znalazł się w zgromadzeniu na skutek wstawnictwa samego papieża Leona XIII. Dzięki wniesionemu przez Czartoryskiego posagowi, powołano fundację, która pozwoliła ściegnąć do Turynu Polaków z zaborów, kształcić ich i wreszcie utworzyć polską gałąź Zgromadzenia Salezjańskiego na ziemi włoskiej.

Już pod koniec XIX wieku polscy salezjanie przenieśli się do ojczyzny, gdzie w ruinach poddominikańskiego klasztoru w Oświęcimiu założyli pierwszy zakład wychowawczy, który zresztą istnieje do dziś. Z czasem rozprzestrzeniali się na inne polskie terytoria. Po odzyskaniu przez

Polskę niepodległości, głównym zadaniem salezjanów było szkolenie zawodowe młodzieży. Utworzono 40 szkół zawodowych i liceów. Jednocześnie otwierano o-ratoria i domy dziecka, przejmowano parafie i budowano nowe kościoły i kaplice, prowadzono kolonie i półkolonie, rozwijano akcję misyjną i religijną. Przez cały kraj przeszedł wówczas twórczy powiew ducha ks. Bosko.

Dru-ga wojna światowa zahamowała rozwój dzieła salezjańskiego. Zamknięto prawie wszystkie szkoły, przeszło 140 księży znalazło się w więzieniach, obozach koncentracyjnych, łagrach i na wygnaniu. Wielu z nich zginęło. Z chwilą odzyskania wolności, mimo ogromnych strat i braku personelu, salezjanie natychmiast zabrali się do pracy otwierając dawniej prowadzone domy i przejmując nowe placówki. Na krótko jednak. W czasach rosnącego terronu stalinowskiego i walki z Kościołem zabrano salezjanom wszystkie szkoły (poza ośrodkiem w Oświęcimiu), pozamykano zakłady, domy starców.

Salezjanie w krainie miedzi

JAN SZARUK

☆
Liczna rzesza księży salezjańskich podjęła pracę na ziemiach północnych i zachodnich. Ale w-pierw pojawili się na tych terenach inni księża, zwłaszcza zakonnicy: franciszkanie i augustianie. Nie mogli jednak podjąć panującym trudnym warunkom pracy i dlatego odchodzili, prosząc władze kościelne o skierowanie tutaj kogoś innego. Ówczesny prymas Polski, kardynał August Hlond, będący sam salezjaninem, postanowił wysłać z misją na ziemię odzyskane swych współbraci.

W Lubinie salezjanie zjawiają się po raz pierwszy w 1949 r. Pierwszy proboszcz Andrzej Świ- da i wspomagający go ksiądz Edward Czerw, sprawujący duszpasterską opiekę nad mieszkańcami miasta i okolicznych miejscowości mają masę roboty. I tak było przez całe czterdziestolecie. W tym okresie zmieniali się proboszczowie i księża. Odbudowuje się zniszczone świątynie i buduje nowe kościoły. Wraz z rozwijającym się Lubinem i zagłębieniem miedziowym przybywa wiernych. Idea apostołstwa salezjańskiego przeni-

ka głęboko lubińską ziemię i społeczność.

Salezjanin, ks. Jan Pryputniewicz, obecny proboszcz parafii Matki Boskiej Częstochowskiej, gospodarz uroczystości jubileuszowych, tak charakteryzuje 40-letnią działalność salezjańską na ziemi lubińskiej:

Salezjanie, którzy przyszli po II wojnie światowej na te tereny, nie byli najlepiej przygotowani do pracy duszpasterskiej w parafiach, ponieważ wcześniej pracowali głównie w szkołach, otaczali opieką wychowawczą młodzież opuszczoną. Jednak przybyli tu i pracowali, służąc pomocą duszpasterską osiedlonym tutaj ludziom. Nie było to łatwe z różnych względów. Przede wszystkim trzeba było umieć nawiązać kontakt z przybyłymi ze Wschodu osiedleńcami, zdobyć ich zaufanie. Ta integracja trwała parę lat. Później, gdy odkryto w tym rejonie złoża miedzi i miasto zaczęło się rozwijać, napłynęła nowa fala migracji i powstały nowe problemy — również dla Kościoła i jego duszpasterzy. Do Lubina przybywali nowi ludzie z różnych zakątków kraju, przywoząc z sobą różne tradycje, przyzwyczajenia, nawyki,

Jak nikt inny potrafili też leżanie zaangażować do pracy przez siebie pracy ludzi ckich, którzy są zrzeszeni w warszyszeniu Salezjańskich Po-ników Kościoła. To na nich ra się niemal w całości dz-ność charytatywna, poradnia dzinna, biblioteka parafialna soby świeckie pomagają pr-dzić pracę w grupach młoda-wych, organizować imprezy styczne, w tym m.in. Tydzień tury Chrześcijańskiej. Bo ks-miałem cały czas pochłania-ehizacja.

— Działalnością charytatyw-mówi ks. proboszcz Prypu-wicz — zajmowaliśmy się za-choć miała ona przez wiele charakter doraźny. Trzeba ją-ło rozwinąć na szeroką skalę stanie wojennym. Wielkiego-czenia nabiera ona i dziś. K-dostawiliśmy dary z zagra-teraz docierają one rzadziej-w ogóle. Próbowujemy zbierać-inny sposób, wśród parafian.

Mało kto zapewne wie że-bin należy do grupy miast-których zaczęto organizować-wcześniej, naprzód dni, a p-tygodniowe kultury chrześcijań-W stolicy polskiej miedzi o-się one już po raz dwunasty-czątek daliśmy im sacrosongii, k-1969 r. zainicjował w Polsce-zjanin ks. Jan Palusiński. W-stępny rok w Krakowie i szawie zrodziły się dni k-ehrześcijańskiej. W Lubin-TKCh rozpoczął się 19 list-1978 r., a inspiracją do jego-organizowania stał się wybór-la Wojtyły na papieża, co-miejsce 16 października teg-mego roku.

— Taką imprezę — wsp-ks. Pryputniewicz — przygo-je się normalnie 3-4 miesi-ks. Witkiewicz z księżmi i grup-nych zrobił to w tamtej at-rze uniesienia w ciągu par-Do kogo zadzwoniłem, każ-d-spieszył z pomocą.

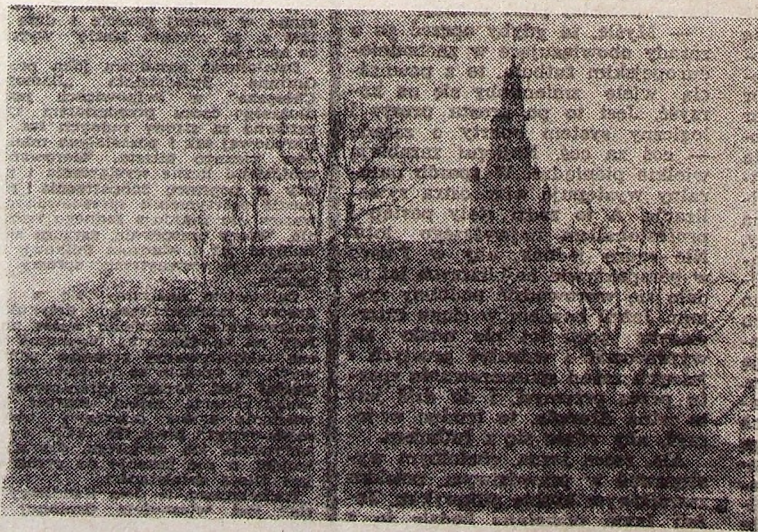
Podczas kolejnych tygodn-bin miał okazję gościć w-nych artystów, pisarzy, mu-wielkich Polaków, w tym m-becnego premiera Tadeusza-wieckiego.

Ks. Kazimierz Pracownik-przybył w 1984 r. do i-wpadł na pomysł, aby w-Karola Wojtyły pt. „Oj-c-zbierać autografy osobisto-estestniczących w TKCh. W-w niej więc podpisy i ded-M. Dmochowskiego, J. Du-H. Skarżanki, B. Horawian-Mikołajskiej, M. Voita, F.-kowskiego, J. Kulmowej, A-kiewicza, A. Drawicza i w-nych.

☆
Na odbyte w październi-uroczystości jubileuszowe-chało do Lubina wielu goś-tym m.in. kardynał Henryk-binowicz, metropolita wroc-oraz sporo księży salezjanów-śród ponad stu, którzy w-40-lecia pracowali na lubi-ziemi. Obecny był m.in. ks.-ta — spowiednik majora H-Sueharskiego, legendarnego-wódcy obrony Westerplatte, był kiedyś proboszczem w-J-chowie. Część kapłanów z-inni nie przyjechali z p-kt-wieku czy choroby. Pierwsz-boszcz, ks. Świ-da, cierpiący-serce, przysłał z Warszawy-ciepłymi słowami do ksi-wiernych.

Była okazja i do wspomini-kazało się, że wśród lubin-ja jest pamięć o wielu o-wnych, a zwłaszcza o ks. J-Orszuliku, ks. Władysławie-ks. Kazimierzu Parciaku, rozpoczął budowę domu k-tycznego, ks. Leonie. Musi-który już w latach 60. prze-wał podczas kazań pełną p-o zbrodni katyńskiej, za co-tykały go szykany.

Alle posłannictwem salez-zaawsze było służenie Bogu-dziom, ojczyźnie i prawdzie.



Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa — pierwsza w Lubinie salezjańska świątynia. Fot. Jerzy Kosiński

☆
Tak jak wszędzie, również i w Lubinie salezjanie wniesli niemały wkład w ożywienie życia religijnego. Rozwinęli działalność kulturalną, która zawsze odgrywała istotną rolę w systemie wychowawczym ks. Bosko. Stworzyli także odpowiednią bazę materialną. W 1959 r. przejęto kościół farny, a półtora roku temu oddano do użytku nowy Dom Katechetyczny im. Św. Jana Bosko.

II. Stygmaty

DLA HISTORII...

„Per la Storia”, „Dla historii” — tak zatytułował swoją książkę — zapis wydarzeń związanych z O. Pio kronikarz San Giovanni Rotondo, Alberto Del Fante. „Kośćciół spożytkuje te kroniki jak zechce, napisał skromnie we wstępie. Naszym zadaniem jest uporządkować i przedstawić fakty, potwierdzone przez doświadczenie. Nie chcemy antycypować tego sądu, wszakże dużym błędem byłoby nie poinformowanie go o tych wydarzeniach”.

On sam — Alberto Del Fante, był także jednym z wielkich „trofeów” Ojca Pio. Jak wielu innych dziennikarzy swój związek z tajemniczym kapucynem z Foggii rozpoczął od cyklu gwałtownych w wyrażeniu artykułów, ogłoszonych w „Italia Laica”. „Mistyfikacji”, „szarlatan”, „cwaniak wykorzystujący ignorancję ciemnego i łatwowiernego tłumu” — to tylko niektóre z określeń, jakich używał Alberto Del Fante wobec O. Pio.

Odpowiedź na nie nadeszła dość szybko, w postaci nie podlegającego dyskusji, całkowitego uzdrowienia jednego z siostrzeńców zaciętrzewionego dziennikarza. O zdrowie dla chłopca modlił się — za przyczyną O. Pio — jeden z przyjaciół Del Fante i po dwudziestu czterech godzinach, ku zdumieniu lekarzy, choroba ustąpiła. Wstrząśnięty tym wydarzeniem udał się Alberto Del Fante do San Giovanni Rotondo, by ujrzeć i poznać „uzdrowiciela”, którego tak mocno krytykował.

— Mistyfikacji czy święty? — zastanawiał się dziennikarz patrząc na O. Pio, który wydawał mu się „najwykleszszym” zakonikiem. Postanowił więc wystawić go na próbę.

„Wyspowiadałem się bez wiary, bez entuzjazmu, tak jakbym znajdował się wobec jakiegokolwiek innego księdza. Jedną wszakże rzecz mnie uderzyła: ten człowiek znał moje grzechy. Natychmiast powiedział mi, że jestem członkiem „stowarzyszenia, które uznaje Boga, ale nie lubi jego przedstawicieli”. Przypuszczałem, że to mój sposób myślenia pozwolił mi domyślić się, że byłem członkiem loży masonskiej. Potem długo dyskutowaliśmy o filozofii, która zastępuje sumienie w wierze; przeszliśmy do św. Augustyna, Spinozy, Kartezjusza, Stuarta Mila, Spencera i innych współczesnych filozofów.

Na koniec rzekłem: Ojcie, zawsze starałem się kierować swe czyny ku dobru, a jeśli niekiedy bestia zatriumfowała nad człowiekiem, moje sumienie natychmiast mi mówiło: rób to, nie rób tamtego... Nigdy nie miałem wiary, ale to nie przeszkodziło mi być uczciwym...”

— Uczciwym? — odparł O. Pio — uczciwym? A przypominaj sobie tamte okoliczności...”

I powiedział mi o sprawach, o których w żaden sposób nie mógł wiedzieć”.

W swojej kronice Alberto Del Fante z pokorą notuje kolejne i bolesne etapy swego nawrócenia. „Walczylem, płacząc z wściekłości...”

Wreszcie, całkiem przekonany, opuszczał San Giovanni Rotondo, prosząc O. Pio o jedną tylko łaskę: o modlitwę w intencji swej młodej żony, oczekującej dziecka. „Oczywiście, oczywiście — odrzekł O. Pio — przecież Bóg powiedział: Rośnijcie i mnożcie się. On kocha tych, którzy tworzą”. I obracając się, zapytał ni stąd ni zowąd: „Czy twoja żona będzie miała pokarm dla malutkiej?” Zdumiony dziennikarz wykrztusił: „Właśnie o to chciała Ojca prosić!”

„Będzie miała — zapewnił O. Pio — matka powinna karmić piersią swe dziecko, tym bardziej że już dwoje starszych oddawałście mamce”. I spokojnym krokiem odszedł ku drzwiom zakrystii, pozostawiając Del Fante z otwartymi zaskoczenia ustami. Skąd O. Pio znał te szczegóły? W każdym razie jego przepowiednia sprawdziła się co do joty.

MAŁA GEMMA

Znany i głośny był przypadek małej Gemmy Di Giorgi, która urodziła się niewidoma, bez zrenic; dziecko nagle odzyskało wzrok po przyjęciu Komunii św. z rąk O. Pio, 18 czerwca 1947 r.

Było to wyzwanie rzucone nauce. W cztery miesiące po tym cudzie znany okulista z Perugii, dr Caramazza poddał dziewczynkę szczegółowym badaniom i stwierdził, że — nie mając zrenic — nie może widzieć. A mała rośła, chodziła do szkoły, ciesząc się dosko-

pukał do pokoju umierającego, proponując posługę kapłańską.

— Nie chcę żadnych księży! — powitał go wściekły krzyk i, żeby odmowa była wyraźniejsza, w stronę księdza poszybował pantofel!

Nie zniechęcony tym ksiądz nalegał.

— Zostawcie mnie w spokoju! — wrzasnął doktor. — Tylko Ojciec Pio mógłby mnie wyspowiadać. Ale za bardzo go obrażałem przez tyle lat, by zechciał przyjść. A zresztą nie wychodzi z klasztoru. Umrę więc tak jak żyłem. Dosyć! Świadkowie tak opisują tę scenę:

Gęsty śnieg sypał z góry na znieuchomiałych, klęczących tłum i na O. Pio, niosącego Hostię ukrytą na piersi. O czym mówili z doktorom? Co sobie przyrzekli? Zaledwie zakonnik wkroczył do pokoju, otworzył ramiona w szeroki geście i uśmiechnął się szeroko. Twarz starego agnostyka rozjaśniła się.

— Niech mi Ojciec przebaczy! —

OJCIEC PIO (9)



nałym wzrokiem. Często przychodziła do San Giovanni Rotondo.

O. Pio słysząc ciągłe komentarze na ten temat, odwracał głowę i wołał:

— Nie mieszajcie mnie w tę sprawę, moi mili! To nie ja, to Matka Boska!

— Ale tylko Ojciec mógł ją o coś takiego poprosić i zostać wysłuchanym — zareplikował ktoś przytomnie.

TYLKO OJCIEC PIO...

Łaski za pośrednictwem O. Pio otrzymywali nie tylko ludzie wierzący, związani z Kościołem. Głośna była opisana przez Renzo Allegri historia dr Francesco Ricciardiego, wojującego ateisty, który przez całe lata organizował i prowadził kampanię przeciw religii w ogóle, a naznaczonemu stygmatami kapucynowi szczególnie. Działalność tę ułatwił mu fakt, że mieszkał kilka kroków od konwentu kapucynów w San Giovanni Rotondo, tego — jak mawiał — gniazda obskurantyzmu i szarlatanerii. O. Pio cierpiał bardzo z tego powodu, lecz milczał.

Po wielu latach agresywnych ataków dr Ricciardi zachorował. Koledzy lekarze jednogłośnie postawili diagnozę: rak żołądka. Za późno na operację! Pewnego dnia nadeszła wiadomość, że dr Ricciardi umiera. Koło domu doktora zgromadziło się wielu ludzi, niektórzy klęcząc na ulicy modlili się o jego nawrócenie.

Miejscowy archiprezbiter, Dom Principe, zebrał całą odwagę i za-

Wyspowiadał się, uzyskawszy przebaczenie i przyjąwszy Komunię św. mógłby umrzeć spokojnie, ale „zemsta” O. Pio nie byłaby piękna, gdyby nie uprosił u Boga jeszcze więcej łask dla grzesznika. Za trzy dni doktor Ricciardi wstał z łóżka. Guz nowotworowy zniknął bez śladu.

A dr Ricciardi, który był „albo zimny, albo gorący”, teraz z gorącą zaciekłością bronił O. Pio przed innymi przeciwnikami, których nigdy nie brakowało...

OSTATNI SĄ PIERWSZYMI

W San Giovanni Rotondo wszyscy doskonale wiedzieli, że O. Pio nie uznawał żadnych przywilejów, nie faworyzował nikogo. Tytuły, honory, stopnie, wysokie funkcje, powiązania, odznaczenia i rangi nie przedstawiały dla niego żadnej wartości. Jednym spojrzeniem ocenił duszę, ogoloną z żalosnych ziemskich ozdób. Jeśli traktował kogoś z pewnymi względami, to tylko niewielkich grzeszników. Jakże często ci, którzy w świecie byli pierwszymi, u niego — stawali się ostatnimi.

Głośno było w klasztorze kapucynów zdarzenie potwierdzające taką postawę O. Pio. Pewnego razu całe San Giovanni Rotondo w podnieceniu oczekiwało na przyjazd jednego z tych zdegradowanych i krzącących po świecie monarchów. Ciekawski tłum gęsto otoczył klasztor, a monarcha zapragnął oczywiście zobaczyć O.

Pio. Ten jednak, zupełnie nie zemocjonowany tak dostojnym gościem, spokojnie odparł na jego przynaglenia:

— Teraz jest kolej na Giovannina. I Giovannino, zamiatacz ulic, został przyjęty przed monarchą, który zirytowany, skrócił wizytę i wymknął się co rychlej.

„Ojcie — zapytano potem zakonnik — jak można było tak go upokorzyć?”

„A cóż to za upokorzenie? — odparł O. Pio — To nie korona piękniejsza duszę. Giovannino jest czarny z brudu na zewnątrz, ale wewnątrz jego duszy jest białe, podczas gdy tamten, czysty na zewnątrz, ma duszę czarną jak węgiel”. I dodał:

„Przed Bożym trybunałem nie ma żadnych pierwszeństw! Jeśli ktokolwiek ma więcej praw, jest nim tylko syn marnotrawny... Pod warunkiem wszakże, że uzna się za takiego i powie: zgrzeszyłem”. A na takiego czekał już w swoim konfesjonale O. Pio z otwartymi ramionami.

„Miłosierdzie, mój synu — mawiał do „swoich grzeszników” — nieskończenie przerasta twoje grzechy”. Radość krasząca oblicze pielgrzymów w San Giovanni Rotondo rodziła się właśnie w konfesjonale, płynęła z pogodzonych serc.

WYZNANIA RZEZBIARZA

Wiele rozgłosu narobiło nawrócenie Francesco Messiny, znanego rzeźbiarza włoskiego, bardzo popularnego w latach powojennych. „Pierwsze moje spotkanie z O. Pio, wspomina Messina, nastąpiło 11 kwietnia 1949 r. i stało się dla mnie jakby uderzeniem gronu, które zmieniło całe moje dotychczasowe życie, myślenie, patrzenie na świat oraz nadało nowy kierunek mojej sztuce. Po tym spotkaniu czułem się w obowiązku ogłosić list otwarty w prasie, w którym dziękowałem Bogu za spotkanie „prawdziwego ojca” i kończyłem słowami: „Narodziłem się 11 kwietnia 1949 r.”.

Kiedy byłem młody słyszałem, jak znajomi rozprawiali o niezwykłym fenomenie, jakim były właściwości O. Pio: zapach, obecność w dwu miejscach jednocześnie, czytanie w myślach. Ale nie mogłem w to uwierzyć, śmieszyły mnie te opowieści. A jednak ten braciśzek o płonących oczach intrygował mnie. Zwłaszcza jego tajemnicze rany, potwierdzone przez lekarzy, nie mogły nie budzić wątpliwości. Dlatego zapragnąłem go poznać.

Urodziłem się w bardzo biednej sycylijskiej rodzinie. Otrzymałem chrzest, ale ani o pierwszej komunii, ani o bierzmowaniu, nie mówiąc już o jakimkolwiek wychowaniu religijnym, nie było mowy. Nie chodziłem do kościoła i choć często myślałem o Chrystusie, byłem grzesznikiem owładniętym pychą, zmysłowością i wszystkimi ludzkimi nędzami. Związałem się z kobietą zamezną, z którą dopiero po wojnie zawarłem ślub kościelny. Wierzyłem w Boga, lecz brakowało mi przewodnika, mocnego punktu odniesienia w niepewnościach i duchowych zmaganiach. Wiosną 1949 odbywała się w Genui moja wielka wystawa, bardzo chwalona przez krytykę. Ja jednak czułem w sercu pustkę i drzący niepokój. Ostatniego dnia pobytu z żoną w Genui posłaliśmy na kolację do znajomych, którzy okazali się wielbicielami O. Pio. Długo rozmawialiśmy o nim, a we mnie dojrzewała decyzja: „Muszę go poznać”.

(Cdn.)
IRENA BURCHACKA

ETYKA ZAWODOWA

Mając na uwadze interesy obywateli, rzetelny Urzędnik winien zadbać przede wszystkim o własne interesy, głównie przez szacunek dla siebie samego i dla własnej rodziny. Czasami może On niezbyt dużą wagę poświęcić jakiemuś obywatelowi, jeżeli obywatel ten doceni Jego wybitną rolę, nuzający trud i szlachetną bezinteresowność w wykonywaniu zadań.

W Biurze podczas godzin pracy, Wysoki Urzędnik może się zająć, naturalnie jeśli zechce, co jest zrozumiałe, również „sprawami” złożonymi w aktach do „pilnego załatwienia”, oczywiście po uprzednim załatwieniu swoich spraw osobistych.

Jego obecność w Biurze nie jest wymagana. Wystarczy jeżeli zoda tylko o to, żeby w jego obecności została właściwie podpisana lista pracy. W godzinach nadliczbowych natomiast jego obecność nie jest niezbędna nawet przy podpisywaniu listy. W zupełności wystarczy, jeżeli złoży swój laskawy podpis razem z poprzednimi pod koniec tygodnia. Wiadomo bowiem, że Urzędnik pracuje wśród ludzi odpowiedzialnych i nie ma powodu, żeby się czepiać takich błahostek. Drobiazg ten Szeff Biura może uregulować spokojnie pod koniec miesiąca.

Zarówno Szeff Biura jak i jego najbliżsi współpracownicy, włącznie z Inspektorem Kontroli, mogą sobie przyznać kilkanaście godzin pracy albo i więcej, z których nie muszą się przed nikim tłumaczyć. Jako że Jego, Szeffa Urzędu i Inspektora Nadzoru (Kontroli) odpowiedzialność, rzetelność i zaangażowanie w pracy są faktem bezdyskusyjnym.

Szeffem zezwala się na: spędzanie czasu pracy w kinie, w klubie lub też na spacerze, bowiem wzbogaca to Ich osobowość, podwyższa poziom kultury, a to wszystko dzieje się w pryncypialnym interesie lepszego wypełniania obowiązków służbowych. Urzędnik winien bezwzględnie stale troszczyć się o własne zdrowie. Nie jest konieczne, aby był chory, jeżeli chce pozostać w domu. Wystarczy drobne przeziębienie, katar, trochę przemęczenia, jakieś przynębienie, melancholia lub zwykłe, ludzkie pragnienie przedłużenia snu.

Jeżeli tego nie robi, wykracza przeciwko obowiązkowi utrzymywania się zawsze w dobrej formie i w dobrym zdrowiu dla dobra ogółu. Nawet gdy się zdarzy, że

(Od redakcji: Nie gościła jeszcze na naszych łamach literatura włoska, a jest ona przecież ogromnie ciekawa. GIOVANNI SALUCCI należy do średniej generacji pisarskiej i jest poczytnym autorem wielu powieści. „Mafia za biurkiem” to satyryczne studium stosunków społecznych, jak sądzimy, nie tylko włoskich. Być może nasz polski Czytelnik znajdzie dla siebie w tej prozie także łaskomy kasek. Być może pewne zjawiska cywilizacyjne i pewne schorzenia społeczne są niezależne od formacji ustrojowej. Zachęcamy do lektury fragmentów tej przewrotnej, dowcipnej i inteligentnie napisanej powieści. O ile spodoba się ona Czytelnikom, po pewnym czasie zaprezentujemy inne obrazy z książki. Miłej lektury!).

Mafia za biurkiem

GIOVANNI SALUCCI

Szeff nie może przyjść do Biura z powodu odwalania jakiejś chałtury, która ma przysporzyć mu dodatkowego grosza, nie ma powodu do krytyki. Ogół obywateli winien wbić sobie do głowy, że w każdym przypadku zależny jest od Jego dyspozycji i dobrych chęci. Z tego wynikają daleko idące konsekwencje. Szeff Biura może bez żadnych ograniczeń wykonywać poza Biurem dodatkową, płatną pracę w Innym Biurze lub w Administracji Państwowej, co nie wyklucza stałej współpracy z pozostałymi sektorami, z Prywatnym włącznie. Bowiemy wielu jego szacownych Kolegów z innych Instytucji i Biur współpracuje na takich samych zasadach z jego Biurem i z jego Instytucją. W rezultacie wszystko to wychodzi i tak tylko dla dobra społeczeństwa. Bowiemy jeżeli Szeff Biura zaniebduje pracę w swoim Biurze na rzecz pracy w obcym Biurze, to i tak sytuacja wygląda w ten sposób, jakby wyńik meczu kończył się remisem 1:1.

Fakt, że pobiera on dwukrotnie wyższą pensję niż inni pracownicy, nie jest istotny, ponieważ chodzi tu o jedną i tę samą osobę tak zdolną i tak pełną doświadczeń, że byłoby błędem oceniać Ją tym samym metrem, którym mierzy się innych przeciętnych śmiertelników. Z tych samych powodów Szeff Firmy może w godzinach służbowych:

— czytać gazety i tygodniki,
— słuchać radia,

— wychodzić z Biura do kawiarni lub baru, aby nie być pozbawionym kontaktu ze światem,

— spacerować po mieście, by być na bieżąco w sferze odczuć i nastrojów społeczeństwa,

— kartkować, jeżeli pozwoli mu czas, jakieś pismo specjalistyczne. Pozostały czas, jeżeli go będzie jeszcze miał, może przeznaczyć na załatwienie jakiejś sprawy zalegającej w dokumentach lub też może odłożyć ją na dzień następny. Bez obawy i bez pośpiechu, bo wiemy ktoś inny wcześniej lub później ją załatwi, a jeżeli nie załatwi, to pozostanie ona do dyspozycji następcy Szeffa, kiedy On, Szeff, będzie już na zastużonej emeryturze.

WSPÓŁZYCIE MIĘDZY KOLEGAMI

Kiedy jakiś kolega ma trudności w pracy i prosi nas o radę, oczywiście dajemy mu ją niechętnie. Co więcej, czasami wsadzenie jakiejś złośliwej szpilki nie jest złe. Bowiemy zawodu nikt nikogo nie uczy, ponieważ każdy powinien nauczyć się sam. Jest to kwestia nie tylko uczciwości, ale wpływa także zachowanie na pracownika również wychowawczo. Wiadome jest, że kto zbyt często polega na życzliwości kolegów, nie angażuje się sam i nie dokształca się.

Zwróćmy też uwagę na formę pozdrowień. Z uprzejmym, miłym i uniozonym uśmiechem pozdrawia się tylko tych, którzy mają pozycję wyższą od Naszej oraz tych, którzy mogą nam pomóc lub zaszkodzić. Nie pozdrawia się natomiast zupełnie tych, którzy mało znaczą lub nie znaczą nic.

Publicznie winniśmy się pokazywać w towarzystwie tylko tych, co mają wysokie stanowiska. Nigdy w innym towarzystwie. Skończyć też trzeba raz na zawsze ze szczerością, a jeżeli ktoś już bardzo chce być szczery, niech tę szczerość udaje, szczególnie wtedy, kiedy to niezbędne. Należy również wystrzegać się plotkowania o tych, którzy są mile widziani przez Szeffów. Dla nich przeznaczamy same pochwały, nawet jeśli to są wredni Dranie.

Należy także pamiętać, że nie wolno stawiać w obronie kogoś, kto jest niestusznie oskarżony, przeciwnie, trzeba mu dać solidnego kopniaka, by go szybciej i głębiej pogrzyź. Siebie zawsze (ZAWSZE), stawiać w dobrym świetle, w ZŁYM natomiast kolegów, zwłaszcza tych, którzy potrafią więcej od nas.

WSPÓŁZYCIE MIĘDZY PODWŁADNYM A SZEFFEM

Układy zależności w hierarchii służbowej nie mają już racji bytu, są anachroniczne, historycznie przestarzałe. Liczą się tylko Funkcje, które są jednakowo ważne na każdym, bez wyjątku, szczeblu. Co więcej, Funkcje Podwładnych są

ważniejsze niż Funkcje Szeffów. Szeff bez Podwładnych nie istnieje. Podwładni zaś bez Szeffa mogą spokojnie wykonywać wszystkie praktyki Biurowe. Postać Szeffa jest li tylko symbolem, potrzebna scenograficznie. Podwładni są natomiast realnie niezbędni. Zasada Równości jest częścią Zasady Władzy. Figura Szeffa nie istnieje więc w starym znaczeniu. Każdy jest Szeffem we własnej Roli, na swoim stanowisku. Nie ma zatem pasywnego posłuszeństwa, nieskończonego szacunku, poświęcenia, podziwu lub respektu.

Skończona jest Epoka Szeffów. Przyszła kolej Na Wszystkich.

Podwładny zarządza — Szeff wykonuje.

Podwładny obija się — Szeff pracuje.

Podwładny pokrzykuje — Szeff siedzi cicho.

Podwładny stawia żądania — Szeff ustępuje.

Podwładny plotkuje — Szeff ostrożnie waży słowa.

Podwładny osądza — Szeff jest sądzony.

Podwładny bałagani — Szeff przymyka oczy.

Podwładny jest katem — Szeff ofiara.

Szeff przejmując się — Podwładny ma wszystko „w nosie”.

STOSUNKI MIĘDZY SZEFFEM A PODWŁADNYMI

Przełożony patrzy na swoich Podwładnych z góry. Dla utrzymania respektu nie zbliża się do nikogo i nie spoufala się z nikim utrzymując wobec wszystkich odpowiedni dystans. Ponieważ Szeff nie musi się przed nikim rozliczać, jedynie przed samym Sobą, nie ma obowiązku być wrażliwym na krzywdy innych lub pomagać w trudnościach swoim Podwładnym. Jemu przynależne jest tylko rozkazywanie. Jednym z zasadniczych błędów Szeffa może być udzielona Podwładnemu pomoc w zrozumieniu jego uchybień popełnionych w pracy. Autorytet wyraża się bowiem w Karach i Naganach, a nie w zrozumieniu. Zle skończy przełożony, który zniży się, próbując zrozumieć Podwładnego.

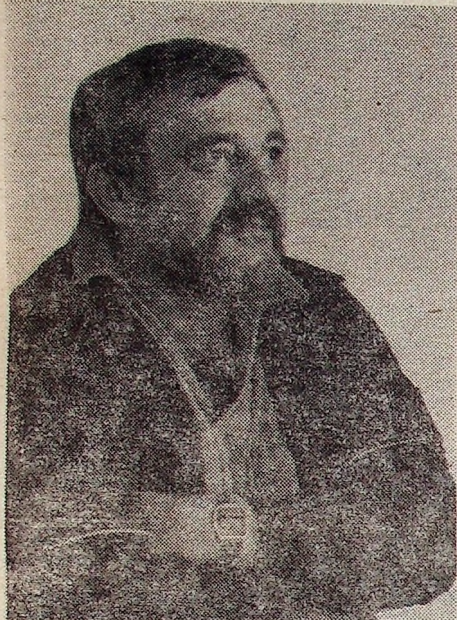
Szeff pragnący szybko i bez potknięć zrobić Karierę, musi być zawsze PRZECIW Podwładnemu, ponieważ Podwładny nie ma NIGDY Racji, nawet kiedy wydaje się, że ją ma. Szeff, jedynie i tylko Szeff ma ZAWSZE i WSZĘDZIE Rację, nawet kiedy wydaje się, że jej nie ma. Jego przypuszczalny błąd jest tylko owocem powierzchownej analizy i małostkowości serca ze strony Innych. Podwładny, który chciałby być traktowany jako mu Równy jest zwykłym zarozumiałcem i wyurotowiecem. Pochwały są ZAWSZE zastrzeżone dla SZEFA. NAGANY dla Podwładnych. Szeff, który docenia pracę Podwładnych, skończy źle, kwalifikując się jako Pomyleniec. Szeff, aby być docenianym, winien dać do zrozumienia że: jeżeli inni pracują normalnie — On, Szeff leje ostatnie poty, jeżeli inni są pilni i oddani zawodowi — On, Szeff CAŁY jest POŚWIĘCENIEM, jeżeli inni myślą — On, Szeff ma przebieżki prawdziwego Geniuszu.

Dlatego też na jego rady i opinie trzeba oczekiwać jako na speccjalną, nieoczekiwaną ŁASKĘ. W przypadku podjęcia jakiejś ważnej, Odpowiedzialnej DECYZJI, Szeff winien jak najszybciej zepchnąć wykonanie tej decyzji na innych.

Natomiast jeżeli jakaś praca lub rozwiązana sprawa może przyczynić się do prestiżu Szeffa, może mu przynieść Rozgłos, powinien Szeff wziąć ją na siebie (Siebie), bez dzielenia jej owoców z Podwładnymi.

Przełożyła z włoskiego
BARBARA KOWALCZYK
przy współpracy
Stanisława Srokowskiego





Fot. Jan Bebel

LUBIN BLIŻEJ ŚWIATA

Z ANDRZEJEM OWCZARKIEM, artystą-plastykiem, rozmawia Andrzej Wrzos.

Wrócił pan z Anglii i Belgii. Poczuł pan techniczne Europy. Jak pan postrzega konfrontację artystyczną w dziedzinie plastyki?

— Byłem w Londynie i Brukseli razem z żoną, Ewą Sliwą-Owczarek. Obejrzelismy dziesiątki galerii sztuki, zobaczyliśmy co robią artyści Anglii i Belgii, i wydaje się nam, że tak zwany średni poziom „produkcji” artystycznej nie odbiega za bardzo od tego, co robimy tutaj, w kraju. Inaczej natomiast uклада się system premowania i rozprowadzania dzieł sztuki. No i inaczej ma się rzecz z twórcami wybitnymi. W takiej Anglii na przykład można się spotkać przynajmniej z trzema niekwestionowanymi autorytetami sztuki, z artystami, których nazwiska są głośne na całym świecie, choćby z nazwiskiem Moore'a. Tam, jak już się osiągnie prawdziwy, wielki sukces, to fama o tym sukcesie idzie przez świat. Nasze lokalne, polskie sukcesy jeszcze niczego nie przesadzają.

A jak się uклада życie tak zwanych przeciętnych plastyków?

— Plastycy wybitni, z nazwiskami, mają się dobrze. Trudno natomiast to nazwisko zdobyć. Trzeba nieustannie brać udział w wystawach, sprawdzać się, konkurować z innymi, pokazywać się w najlepszych galeriach, szczególnie w galeriach prywatnych, których nie brakuje. Na Zachodzie rynek kształtuje artystę. Zauważony, utalentowany plastyk staje się co-

raz popularniejszy, w miarę rozwoju twórczego. Nie ma mecenatu państwowego, a jeśli jest, to w niewielkim stopniu wpływa na los twórcy. O wszystkim raczej decyduje giełda, żywotność twórcza. Można powiedzieć, że mecenasem jest rynek sztuki. Rywalizacja ogromna, w galeriach najciekawsze zestawy prac.

Czy sztuka cieszy się szerszą popularnością?

— To zależy co przez popularność rozumiemy. Głośni, wybitni twórcy są powszechnie znani, o nich się mówi w radiu, w telewizji, w prasie. Natomiast tak zwany szeroki krąg odbiorców raczej nie bardzo wie, co się dzieje na całej giełdzie sztuki. Sztuka to sprawa elitarna. Ale snobizmy grają dużą rolę, moda, nagłośnie prace, nazwiska.

A czy Anglicy wiedzą coś o polskiej sztuce?

— Niewiele, żeby nie powiedzieć — nic. Naturalnie, znają kilka nazwisk z różnych dziedzin, ale nie daje to obrazu polskiej sztuki. Głośny jest Lutosławski, ale już o Pendereckim niewiele wiedzą. O plastyce polskiej prawie nic, choć czasami wymieniają nazwisko Topolskiego. W niektórych kręgach, bardzo wąskich, znana jest Abakanowicz.

A jakie tendencje da się zauważyć na rynku sztuki?

— Wszystko da się zauważyć. Wszystko, co jest na świecie.

Czy nawiązał pan współpracę z twórcami angielskimi?

— Tak, poznałem wiele domów twórczych, wielu plastyków i to już owocuje współpracą między Londynem a naszym regionem. Przebywało na naszych plenerach dotychczas ośmiu artystów, dając w ten sposób szansę na rozwinięcie tej współpracy. Ma ona jednak charakter półprywatny, ale od tego się zaczyna. Anglicy, których zaprosiliśmy na plener byli zachwyceni Polską, naszą ziemią, naszymi krajobrazami. Dobrze się tutaj czuli. A Polska była dla nich prawdziwym odkryciem. Mówili, że nasz kraj, to taki zaśnieżony klejnot, który trzeba oczyścić, a będzie błyszczał. Staramy się to robić.

Rozumiem, że prace wielu z nich zostaną pokazane naszej publiczności.

Tak, w styczniu zostanie otwarta galeria z pracami plenerowymi i można będzie zobaczyć w Głogowie także obrazy zagraniczne.

Doszły mnie słuchy, że nasz lubiński konkurs na grafikę i rysunek wzbudził spore zainteresowanie w Anglii i w Brukseli.

To bardzo ważne. W Anglii, w katalogu „Sztuka Europy” wyszukałem artystkę, która zajmuje się grafiką włókniarską. Nazywa się Liz Pannett — to bardzo uzdolniona plastyczka. Tak się przejęła naszym biennale w Lubinie, że podjęła się funkcji komisarza biennale na Anglię, czyli dopomoże nam w selekcji artystów, którzy będą brać udział w lubińskim konkursie. Liz Pannett propaguje lubińską ideę w Londynie i w całej Anglii, a także wysłała impulsy do USA, gdzie ma swoje kręgi przyjaciół i w ten sposób rozdmuchuje lubińską inicjatywę. Lubin wymienia się więc jako atrakcyjne i ważne miejsce do spotkań twórczych.

A w Brukseli biennale budzi zainteresowanie?

Oczywiście. Udało mi się pozyskać p. Andrzeja Wiśniewskiego, laureata naszego ostatniego biennale do stałej współpracy, do propagowania idei w Europie. Zna ją jest znana w Belgii artystką, zajmuje się grafiką, oboje wskazują na potrzebę współpracy z Lubinem i naszą ziemią. Oni się zajmą wewnętrzną, belgijską kwalifikacją prac, które zostaną przesłane do Lubina. Być może ustanowimy wspólne jury.

A co u pana i u pani Ewy Sliwy-Owczarek? Malowaliście w Anglii?

Ewa dużo malowała, ja trochę mniej. Teraz natomiast zabrałem się do roboty. Szykują mi się trzy wystawy i staram się je dobrze przygotować. A poza tym kończę renowację domu, przygotowuję pracownię.

Nawiązał pan żywy kontakt z Londynem, Brukselą, teraz poczekamy na dalsze owoce. A najbliższe, powtórzmy, to wystawa poplenerowa w Głogowie. Dziękuję za rozmowę.

spotkanie z Marianną Bocian, poetką z Wrocławia, przybyła pełna sala młodzieży i dyskusja trwała kilka godzin. A uczniowie prof. Gadzielekiego zdobywali książki poetki w najrozmaitszych miejscach. Niektórzy czytelnicy nawet odbyli podróż do Zielonej Góry, żeby tylko przeczytać wiersze. Prezes klubu, prof. Gadzielek ostro wziął się do roboty. Nie dziwnego, że potem goście z Warszawy, Poznania czy Krakowa nadzwili się nie mogą, co się dzieje w Lubinie, gdy przyjdzie im rozmawiać o literaturze. Przynajmniej tak było do tej pory. Jak będzie jutro, pojutrze? Nie wiem, choć mając takich nauczycieli j. polskiego, jak prof. Gadzielek, możemy być spokojni o poziom życia literackiego wśród młodzieży szkolnej... Doszły nas także słuchy, że prof. Gadzielek otrzymał jakoweś medale, ale szczegółów nie znamy. W każdym razie panie Ludwiku, gratulacje.

KORNICK

LISTY

ZYCZENIA OD DZIECI

Wychowankowie i grono pedagogiczne Państwowego Domu Dziecka w Ścinawie z okazji Górniczego Święta składają serdeczne życzenia górnikom Zagłębia Miedziowego, a w szczególności załodze, Radzie Pracowniczej i dyrekcji naszego zakładu opiekuńczego — Zakładowi Robót Górniczych w Lubinie. Naszym nieskromnym życzeniem jest jawne ogłoszenie, do społecznej wiadomości, szczerą wdzięczności za wieloletnią i trwałą pamięć, troskę i pomoc w rozwiązywaniu wielu problemów.

W naszym kraju, wkraczającym w nową formułęładu i porządku w każdej dziedzinie życia, jest nadal miejsce dla idei humanitarnych i czynów „gorącego serca”. Załoga ZRG przez długie lata zawsze stanowiła wzorcową prawdziwą, a nie „pisaną” opiekunów Dzieci (zainspirowane przez wychowawczyńnię, p. Halinę Dąbkowską) 1.12. br., podczas wewnętrznej uroczystości tego zakładu z okazji „Dnia Górnika”, na ręce dyrektora mgr. inż. Janusza Lipińskiego, przekazały swoje podziękowanie następującą wierszowaną formą życzeń:

Wiersz napisany na okoliczność Święta Górnika w dowód wdzięczności za pamięć, dobrą wolę i opiekunów.

Siedzę od rana przy telefonie
I dzwonię, dzwonię, dzwonię
A do kogo?
Do wszystkich górników
Do kopalni w Bytomiu, w Rybniku

Do Gustika w kopalni „Wujek”
Do Karlika co węgiel jeduje
Do sztygarów z Będzina, Wadowic
Do Sosnowca, do Zabrze, Katowic

I telefon zaczyna skakać
Nie, nie będzie plakać
Tam muszę pojechać dziś w gości
Podziękować im pięknie
Za moje radości

Dzisiaj jest święto górnicze — Barbarka
Wystroili się przecież całe Zagłębie
Rozśpiewały się wszystkie podwórka
Zatańczyły na niebie gołębie

Bo święto ma górnicza bracia
Co umie brać i umie dać
Górnika, który mieszka w Lubinie
Mógłby powiedzieć o niejednym swoim
czytnie

Czyn to wielki i wspaniały
Przysparza krajowi chwały
I kraj nasz bogaty jest dzięki miedzi
A trud Wasz historia siedzi

My skromni wychowankowie
Mówimy głośno: to są nasi
opiekunowie
Zakład ten zawsze do pomocy gotowy
To transport, to sprzęt sportowy

Tudzież wakacyjną ofertą zachęca
Wór łakoci już wiezie, to odzież
dziecięca

Opiekunów naszych nie damy nikomu
Będą o nich pamiętać, gdy będą już
w domu

Nie tylko Broniewski, Morenek Was
stawi

My dajemy rozgłos po całej Ścinawie
Życzymy Wam szczęścia, dużo

pomyślności
A w Waszych rodzinach niech dobrobyt
gości.

TKK

Otrzymałmśmy pozdrowienia od znakomitego grafika ze Łwowa, Olka Tyszczyka. Miło wspomina swój pobyt w Lubinie na wystawie pokonkursowej rysunku i grafiki. My także naszego laureata dobrze wspominaliśmy. Nie ma to, jak więź kulturalna, przekraczająca wszelkie granice. Świeceniu artysty sukcesów życzymy.

Z opóźnieniem wprowadziliśmy, ale piszemy, o życzliwym zaproszeniu na wystawę malarstwa Łukasza Morauskiego w „Galerii Zamkowej”. BWA nie rezygnuje z poszukiwań nowych twórców. To nam się podoba.

Klub Literacki przy KMPIK w Lubinie rozpoczął nowy sezon twórczy bardzo ambitnie i ciekawie. Odbyły się trzy spotkania literackie. Dwa pierwsze z dużym rezonansem czytelnym. Okazało się bowiem, że na

SPOTKANIE Z TEMIDĄ

Usłyszałem dzwonek do drzwi. Otworzyłem. W drzwiach stał jakiś nieznajomy i coś mówił, a właściwie belkotał — widząc było, że jest zupełnie pijany. Z trudem wyłowilem z tego belkotu, dzwięk własnego nazwiska. — Tak, to ja — przytaknąłem i zaraz poczułem w brzuchu jakby jakieś okropne zimno... Potem lekarz z pogotowia powiedział, że miałem wyjątkowe szczęście, bo to i karetka przyjechała w pięć minut i szpital jest bardzo blisko...

Dominik i Henryka W. uchodzili wśród dalszych i bliższych znajomych za wyjątkowo dobre małżeństwo. Była to zresztą opinia ze wszech miar uzasadniona. Przez szesnaście lat bowiem nie — poza jakimś drobniaczkiem, zupełnie się nie liczącymi — nie zakłócało panującej w ich domu harmonii. Trudno się więc dziwić Dominikowi W., że fakt, iż żona nie powróciła któregoś dnia do domu na noc, przyjął jak grom z jasnego nieba. Trudno też się dziwić, że zażądał wyjaśnień. Opowieść o nocy spędzonej u koleżanki przyjął jednak z nieufnością, a uczucie niewiary było tak potężne i przemożne, że następnego dnia znów zaczął „przesłuchiwać”. Wybuchła awantura, w czasie której nerwy poniosły Dominika W. ponad wszelką miarę i uderzył żonę w twarz. Rozplakała się i rozkrzyczala:

— Zdzisiek ci tego nie daruję! Dostaniesz od niego wycisk!

Uwiarygodniły się w tym jej krzyku wszystkie podejrzenia i coś go aż zmroziło. Potem gorączkowo zaczął w myślach szukać sposobu na ratowanie małżeństwa, domu, rodziny...

Nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia. Henryka jak co roku ubrała choinkę i przygotowała wigilijną kolację. Do stołu nie chciała jednak zasiąść. Wymówiła się szczególnie dotkliwym bólem głowy. On, Dominik, nie bardzo w to wierzył.

— Złe się dzieje w naszej rodzinie — pomyślał. — Trzeba dom i dzieci ratować... Nie wiedział jednak, jak to zrobić. Doszedł wreszcie do wniosku, że najlepiej znaleźć tego, co żonie w głowie zawrócił.

— Co to za człowiek, ten Zdzisiek? — zapytał wreszcie wprost.

— Po studiach... Rozwódnik... — usłyszał.

— Nie pasowało mi to... — mówił Dominik W. — Byłem pewien, że to jakiś zwykły lump. Postanowiłem go znaleźć. Wpadłem na pomysł, żeby zadzwonić do żony do pracy i podać się za tego Zdzisława. I tak zrobiłem. Henryka odebrała telefon i powiedziała: Zdzisiek! Kiedy wrócisz z hotelu? Rzuciłem słuchawkę, a

potem zadzwoniłem do hotelu, ni by jako kolega tego Zdzisława i jakoś doszedłem do tego, że on rzeczywiście tam czasem nocował. Jeszcze później udało mi się dowiedzieć, gdzie on mieszka. Jak już tak wszystkiego dowiedziałem się, to mnie zupełnie załamało. Był akurat sylwester. Wróciłem do domu, bo co miałem robić... W domu była żona. Zauważyłem, że jest podenerwowana. Pewnie

alkohol. Niedługo potem przyszła moja żona...

Początkowo witanie Nowego Roku przebiegało zgodnie i harmonijnie. Później jednak, wraz z upływającym czasem, a przede wszystkim wraz ze wzrastającą ilością wypijanych toastów, atmosfera niejako gęstniała. Wreszcie doszło do awantury. Dominik W. twierdził, że sprowokowanej przez żonę. W każdym razie on — Dominik nie zastanawiał się długo i uderzył żonę pięścią w twarz. Trudno się dziwić, że absolutnie nie spodobało się to gospodarzowi mieszkania, który wyprosił krew-

Nowego Roku. Około trzynastej, kiedy kompletnie pijany opuszczał gościnne progi, zabrzęczała go młotnica...

Dwa promille alkoholu w krwi były u Dominika W. zjawiskiem ani częstym, ani normalnym. Pochodził z rodziny, w której nie istniała alkoholowa tradycja, a już szczególnie matka była przeciwniczką picia wódki. Zresztą prawdę mówiąc, Dominik W. niemal pod każdym względem należał do wyjątków. O tym, że nie pił — już wspomnieliśmy. Pracował nadzwyczaj uczciwie i sumiennie i to przez wszystkie zawodowe lata, w których nie pozwolił sobie na ani jedną „enkę”. Jest także wyjątkiem z innego powodu — nie miał ciagot do jakiegokolwiek politykowania. Nie interesowały go więc ani jedne, ani drugie związki. Nie budziły emocji żadne zawołania ideologiczne którejkolwiek partii.

Przesłuchany w charakterze podejrzanego, Dominik W. powiedział:

— Przypominam sobie, że byłem pod jakimiś drzwiami, że zadzwoniłem. Wiem, że otworzył mi jakiś mężczyzna, ale co było dalej — nie pamiętam. Być może że zadłem ten cios, bo jak wróciłem, to zobaczyłem, że trzymam w ręce zakrwawiony nóż... Ale przecież ja poszedłem tylko, żeby z nim porozmawiać, wytłumaczyć, żeby nie zabierał mi żony. Chciałem ratować swój dom...

Biegli psychiatrzy i psychologowie stwierdzili, że Dominik W. jest osobnikiem charakteropatycznym — nadwrażliwym emocjonalnie, skłonny do kumulowania napięć emocjonalnych. Wszystkie charakteropatyczne cechy wiążą się u niego z objawami dyskretnego uszkodzenia ośrodkowego układu nerwowego, spowodowanego prawdopodobnie doznaniem w przeszłości urazem głowy.

Tak więc Dominik W. zabić nie chciał i nie zamierzał, a w chwili popełnienia przestępstwa jego zdolność kierowania swym postępowaniem była w znacznym stopniu ograniczona.

Takie właśnie stanowisko zajął Sąd Wojewódzki w Legnicy, skazując Dominika W. na trzy lata pozbawienia wolności i nawiązki po 50 tysięcy złotych na rzecz PCK i Społecznego Komitetu Doposażenia Szpitala Wojewódzkiego.

Gwoli pełnej prawdy potrzebne jest jeszcze jedno wyjaśnienie — Henryka W. daleka była od jakiegokolwiek flirtu ze Zdzisławem Z. Ot, po prostu w czasie małżeńskiej sprzeczki rzuciła pierwsze lepsze słowa, jakie jej przyszły na myśl. Jakoś tak bez przyczyny, odruchowo, chciała wzbudzić męzowską zazdrość. Bo przecież, jak ktoś jest zazdrośny, to kocha...

Teraz Henryka W. czeka na amnestię i jest przekonana, że ze wszystkich uwiecznionych Dominik służył na nią najbardziej...



ZAZDROŚĆ

ANNA BORSKA

zorientowała się, że to ja dzwoniłem, a nie ten Zdzisiek...

Cały wieczór szukałem pretekstu do rozmowy, ale nic z tego nie wyszło. Poszedłem do kolegi. Trochę wstyd było samemu w taki wieczór, więc powiedziałem, że dzieci chore i żona musiała przy nich zostać. Postawiłem na stole pół litra, a kolega wyciągnął niecałą butelkę.

Do domu wróciłem około trzeciej nad ranem w Nowy Rok. Henryka spała razem z dziećmi. Miałem ochotę na kawę, ale akurat nie było, więc gdy usłyszałem na klatce schodowej głosy sąsiadów, wyszedłem do nich i złożyłem noworoczne życzenia. Zaprośili do siebie. Postawili kawę i

kiego małżonka za drzwi.

Dominik W. — wydawałoby się, że całkiem potulnie — poszedł do siebie do domu. Włożył buty, płaszcz, a wychodząc zabrał nóż kuchenny. Jego myśli zajęte były tylko jednym: adresem rywala. Stał przed drzwiami mieszkania Zdzisława Z. — hydraulika. Zadzwonił. Drzwi otworzył zasnany mężczyzna. Dominik W. upewnił się:

— Pan Zdzisław Z.?

— Tak — odpowiedział tamten.

— O co chodzi? — W tym momencie Dominik W. wyciągnął nóż i zadał cios w brzuch rywala. Potem odwrócił się i jak mógł najprędzej...

CO, GDZIE, KIEDY?

TEATR DRAMATYCZNY W LEGNICY
● Spektakl „Antygona” — 21-22 bm. g. 12.

KINA
GŁOGÓW — Jubilat — 21-22 bm.: „Galimatias czyli kogel-mogel II” (pol.), „Blue velvet” (USA), 23-24 i 26 bm. „Wielka podróż Bolka i Lolka” (pol.) 23 bm. — 11 „Szalony Megs” (USA) 27 bm. — 11 „Willow” (USA). Zodiak — 23 i 27 bm.: „Miłość, szmaragd i krokodyl” (USA), „Bez litości” (USA). LEGNICA — Piast — do 27 bm.: „Co lubią tygrysy” (pol.), „Czarna wdowa” (USA), „Superghina” (USA), „Stan posiadania” (pol.), 28 bm. — 31: „Ostatni dzwonek” (pol.), „Krokodyl Dundee” (austral.), „Falszywy księż” (czech.), „Wirujący seks” (USA).

LUBIN — Muza — 21-23 i 26 bm. „Sztłana palapka” (USA), 21-26 bm. „Tunel” (argentin.), Polonia — 21-22 bm. „Bliźnięta” (pol.), „Gliniarz z Beverly Hills II” (USA), 23-24 i 27 bm. — 11 „Sztuka kochania” (pol.), „Gwiezdny przybysz” (USA), „Nieoczekiwane zmiany miejsc” (USA), „Niekończąca się opowieść” (RFN), od 21. „Moonraker — pojazd księżycowy” (USA), „Willow” (USA). POLKOWICE — Skarbnik — do 27 bm. „Gry wojenne” (USA), 21-26 bm. „Rybka zwana Wanda czyli jak odzyskać lup” (ang.), 23-26 bm. „Złote dziecko” (USA), 26-28 bm. „Christine” (USA), 26 bm. — 11: „Interkosmos” (USA), „Elektroniczny morderca”

(US
(RF
K
ny

nie
do

Ksi
wys
pły

bow
do

Wystawa „Camera Berlin”, w ga-

lerii „Okno” do 25 bm.

WDK

Zaprasza dzieci na bajki wideo —

w niedzielę o g. 13, o godz. 17 mło-

dzieci na dyskoteki.

organizuje giełdy wideo, płyt i

programów komputerowych w srody

od g. 15 i w soboty od g. 13.

LUBIN
DK „Zuraw”

Organizuje wigilię dla samotnych
21 bm. g. 18.
Zaprasza na bal sylwestrowy. 31
od godz. 20 (bilety jeszcze do na-
cia).
w soboty od g. 10 giełdy kompu-
tów.

KMPiK
proponuje obejrzenie wystawy gra-
Józefa Pakulskiego (ze zbiorów
A w Jeleniej Górze) i fotografii
Istki kryzys polityczno-gospodarczy
1. 1980-82 w obiektywie fotorepor-
tów, wystawy czynne do 31 bm.
Spółdzielczy Dom Kultury przy ul.
szynskiego zawiadamia, że jeszcze
dysponuje wolnymi miejscami na bal
sylwestrowy.

POLKOWICE
DK „Impresja”
Konkursy i zabawy dla dzieci
„Gwiazdkowe niespodzianki” — 21 bm.
g. 16, oraz spotkanie pn. „Bez nudy”
— 28 bm. g. 16.
Wystawa plakatu i fotografii pn.
„Teatr i...” — do 30 bm.

Niegdyś przygotowania do sylwestrowego balu, ważniejszego nawet niż raut u hrabiny iks czy baronowej igrek, trwały miesiącami. Długie tygodnie wymyślano kreacje, biegano do krawcowej na przymiarki, poprawki. Później trzeba było jeszcze dobrać rękawiczki, najlepiej wprost z Paryża i oczywiście kapelusz. Aż wreszcie wypoczęte, wyczesane, otulone drogimi futrami panie podążały na bal. owiane tajemniczym zapachem.

Ach, gdzie te czasy... Gdzież nam — zabieganiom przez okrągłe 12 miesięcy, paniom (bo to trzeba dziecko odebrać z przedszkola, zrobić zakupy, przepierkę, odnieść mikser do naprawy itd.) do tych dam. Na co dzień ledwie wystarcza czasu na pospieszny makijaż, wizyta u kosmetyczki to święto, a nowych ciuch, jeśli go same nie uszyjemy czy wydziergamy, doprowadza do ruiny nasz domowy budżet. Ale i my choć raz w roku chcemy damą być. Na rady kosmetyczne czy dietę cud już za późno, proponujemy więc chwilę relaksu i zastanowienia się, skąd się wzięły atrybuty dawnych elegantek.

PERFUMY

są najprawdopodobniej wynalazkiem Persów, a być może innych wschodnich narodów. Nazwa pochodzi od określenia romańskiego „wędzić, kadzić”. Wzięło się ono stąd, że w antycznym Rzymie do uszlachetniania naturalnego zapachu ludzkiego ciała używano kadzideł. Do dziś jeszcze kobiety beduińskie mieszkające na pustyni „perfumują się” siadając w dymie ogniska, w którym palą się pachnące korzenie. Perfumy znane były we wszystkich zakątkach świata i miały różne znaczenie, np. religijne, wyrażające osobowość wewnątrz człowieka.

Naturalne perfumy znajdują się w kwiatkach wielu roślin. Istnieją też substancje zapachowe pochodzenia zwierzęcego: piżmo piżmowca, ambra kaszalota, kastroreum — wydzielina gruczołów przyodbytowych bobra.

Zapachy charakterystyczne dla roślin można dziś produkować przy użyciu syntetycznych materiałów utworzonych z różnych związków chemicznych. Dobre perfumy mogą być kombinacją od dwudziestu do stu składników!

REKAWICZKI

— w starożytności używano ich do ozdoby, i ochrony rąk przy

ciężkich pracach. Najstarszymi, które zachowały się do naszych czasów, były przypuszczalnie płóciennne rękawiczki znalezione w grobowcu Tutenchamona (XIV w. p.n.e.). W starożytnym Rzymie nie miały one zastosowania dzisiejszego — ochrony dłoni przed chłodem, gdyż wtedy wsuwno ręce w fałdy ubioru.

W średniowieczu rękawiczki stały się oznaką potęgi i godności. Niższemu klerowi noszenie rękawiczek w kościele było wzbronione, ale za to wyżsi dostojnicy Kościoła od XIV wieku mieli dokładnie ustalone jakiego koloru rękawice powinni nosić w czasie poszczególnych obrządków i świąt. Tylko msze za zmarłych i Wielkoczwartkowe odprawiane były gołymi rękami. Rękawice bi-

skie i królewskie miały olbrzymią ilość koronek i falbanek sięgających nawet do łokcia, a zdobione były cennymi kamieniami. Rękawica rycerska reprezentowała honor — stąd formą znieważenia było rzucenie rękawicy pod nogi, bądź też spoliczkowanie nią.

W XVI wieku zapanowała moda na rękawiczki hiszpańskie o wymyślnym kształcie i co najważniejsze, mocno perfumowane. Kadzidłom, którymi były nasączone, przypisywano znaczenie lecznicze. Dopiero po Rewolucji Francuskiej rękawiczki przybrały skromniejszy wygląd — stały się praktyczne i utraciły symboliczne znaczenie. Wtedy też zaczęły być noszone przez ludzi wszystkich klas społecznych.

KAPELUSZ

Pierwszym nakryciem głowy był pewnie duży liść chroniący przed deszczem lub palącym słońcem. Później kapelusze zaczęto wykonywać z surowców dostępnych w danym otoczeniu, stąd też ich duża różnorodność. To zresztą zrozumiałe: inne nakrycie głowy potrzebne jest uprawiającemu ryż, inne podróżnikowi, jeszcze inne żołnierzowi. Gdyby prześledzić historię kapelusza, okazałoby się, że chyba nie można wymyślić już nowego kształtu. Wszystko bowiem było. W średniowieczu panowała moda na kapelusze sukienne zakrywające włosy i okalające twarz suto udrapowaną materią. W XVI wieku w Niemczech szczytem elegancji było noszenie aksamitnych beretów. W następnym stuleciu w środkowej Europie nosiło się kapelusze rajtarów szwedzkich lub wielkie nakrycia głowy przypominające kapelusze muskietierów. Później nadeszła moda na przyozdabianie głowy ciężkimi perukami z lokami sięgającymi pasa. Duży kapelusz zsuwał się z tej konstrukcji, ale dobrze wychowanemu człowiekowi nie wypadało pokazać się bez niego, choćby noszonego pod pachą. Wielkie rondo, pióra stały się historią, a następnie je płaski, składany, dwurożny kapelusz, jaki nosił Napoleon. W połowie XVIII wieku pojawia się cylinder z jedwabiu, w kształcie walca, a „wynalazkiem” naszego stulecia, konkretnie okresu międzywojennego, był melonik — dziś noszony jedynie przez konserwatywnych angielskich średnich urzędników.

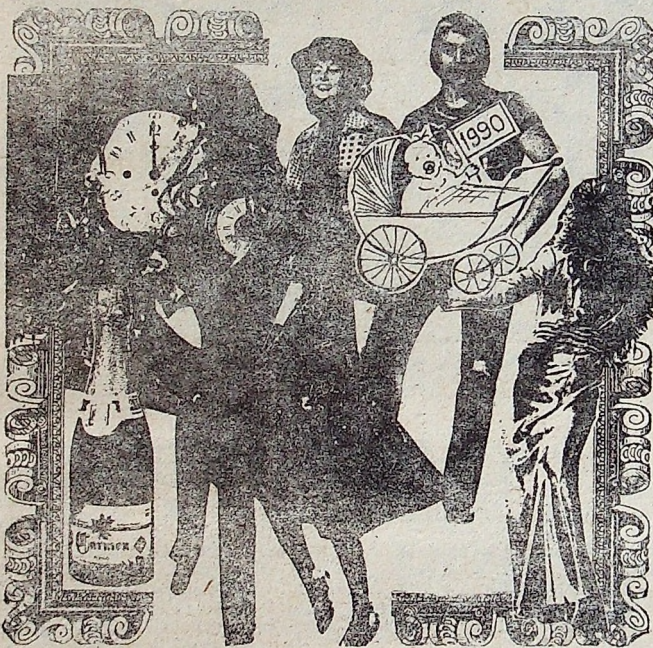
Teraz kapelusze stają się modne na sezon, dwa — a to panama, a to borsalino, toczek czy kapeluszik z małym rondem. Obserwujemy to, co lansują projektanci i... zadowalamy się wygodną welnianą czapką.

Zmienia się moda, ale atrybuty kobiety światowej pozostają. Kapelusz, rękawiczki i dobre perfumy renomowanych firm kosztują teraz majątek, ale nadal stanowią uzupełnienie toalety wytwornej pani, wytwornej choć raz w roku, na wielkim sylwestrowym balu.

Bawmy się więc na tysiącach przyjęć, prywatek, balów, aż do świtu. A paniom życzymy, aby w nadchodzącym roku 1990 miały więcej czasu dla siebie, by mogły damą, no, choćby elegantką być!

Ach, te bale...

BOŻENA KONCZAL



FELIETON

MOJA WALKA Z ALKOHOLIZMEM

W 1988 r. spożycie alkoholu w przeliczeniu na jednego mieszkańca PRL wyniosło około 6 litrów czystego spirytusu. Szybko przeliczyłem, że jako ojciec niepijącego dziecka i mąż niepijącej żony skonsumentem prawie 75 butelek 40-procentowej wódki. Wiedziałem, co prawda, że jestem osobą pijącą, ale żeby aż tak?!

Wiele jest przyczyn pijanstwa w naszym kraju. Jedną z nich to niewątpliwie struktura spożycia napojów alkoholowych. Pijemy po prostu wysokoprocentowe trunki lekceważąc generalnie markowe wina wytwarzane na podbudowie siarki i wodniście piwo krajowej produkcji. Będąc człowiekiem świadomym powodów alkoholizmu społeczeństwa, wciągnąłem się pewnej niedzieli do popularnej w Lubinie pijalni piwa.

Już w progu zaciągnąłem się z lubością dymem pochodzącym ze szlachetnych gatunków papierosów, od czego pociemniało mi nieco w oczach. Z trudem więc dojrzałem zarysy czule przytulonych do siebie ciał, cudem udało mi się uskoknąć przed „latającym kuflem” i oszołomiony zająłem miejsce w kolejce. Bezpiecznie utulony między zdradzającą dobrobyt olbrzymie brzuchy, skoncentrowałem się na prowadzonej w wąskim szeregu rozmowach. Podśledzałem kilka genialnie prostych recept na uzdrowienie polskiej gospodarki, zapoznałem się z opiniami na temat uzdolnień erotycznych pewnej pani, zaplakałem zżęśnię nad łosem niesprawiedliwie przesładowanych. Ofiar reżimu było zresztą w pijalni wyjątkowo wiele. Zawsąd dochodziły do mnie opowieści o mrozących krew w żyłach przeżyciach.

Zywo zainteresowany sympatycznym belkotem otaczających mnie spragnionych dżentelmenów nawet nie zauważyłem, gdy minęła prawie godzina i stanąłem „oko w oko” z przyodzianym w rzeźniczą kufajkę barmanem. Z trudem odlepiłem się od lady, o którą radośnie oparłem się w trakcie nadopiecznego oczekiwania w kolejce, po czym zakupiłem upragnione piwo. Ścisnął nerwowo artystycznie

poszczerbione kufle pełne chmielewemu napoju ruszyłem w kierunku wolnego kawałka podłogi pod przeciwległą ścianą. Po kwadransie wędrowki szczęśliwie dotarłem do upragnionego kąta, w którym skromnie przycupnąłem i z ciekawością rozejrzałem się po sali.

Tuż obok zawierana była niezwykle korzystna transakcja sprzedaży używanego budzika bez jednej wskazówki. Nieco dalej handlowano „prawdziwymi pieniędzmi”. Część piwooszy grała ze znużeniem w karty, część czytała stare gazety, jeszcze inni odpoczywali złożuwszy swoje zmęczone głowy na blaty stołów. Zauważyłem, że w tym wielofunkcyjnym niedużym przeciwie lokalu. Z wielkim powodzeniem pełnił on rolę kantoru wymiany walut, bazaru staroci, czyteln, salonu gier, sympialni, ringu bokserskiego, a nawet telefonu zaufania.

Przy którymś z kolei piwie również i ja zawarłem atrakcyjną znajomość. Rozmowę z nowym przyjaciелеm rozpocząłem w stylu angielskim — od pogody. Następnie obaj wnikliwie rozpatrzyliśmy szanse przeżycia w naszym kraju, bezpartidowo rozprawiliśmy się z Łazarkiem, zaplakał się rzewnie nad losem Rumunów. W trakcie analitycznej dyskusji groźnie potrasaliśmy pięściami, rzucaliśmy

się sobie w ramiona, wymienialiśmy proletariackie uściski dłoni. Wreszcie trzymając się zgodnie za rączki zaintonowaliśmy popularną pieśń masową o gorálu, któremu nie żal.

Natura jednak jest bezlitosna. Dala tego dowód zmuszając mnie do chwilowego odwrotu. Po dłuższym oczekiwaniu przed drzwiami z tabliczką WC, wreszcie dostałem się do środka. Zaraz za progiem wdepnąłem w pozostałości po tych, którzy czekali zbyt długo... Mimo to odwieźdźny te dały mi dużo przyjemności. Smutek ogarnął mnie dopiero wtedy gdy powróciłem do „mojego” kąta, gdzie nie znalazłem już ani kolegi, ani kufli (z piwem, niestety).

Ale i tak wychodziłem z piwiarni zadowolony, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku walki z alkoholizmem. Dzięki mnie odrobina zmieniła się niekorzystna proporcja spożycia napojów wysokoprocentowych w Polsce Ludowej, a tym samym statystycznie spożycie to zmalało. Przy najbliższej okazji będę więc tę ambitną walkę kontynuował. Do zobaczenia!

ADAM SUDENIS

PS. Wszelkie podobieństwa do miejsca i osób są oczywiście przypadkowe i niezamierzone.

Gdyby go wtedy ktoś zapytał: polecisz w kosmos zamiast tego psa?, pewnie by się zgodził. A tak Lajka go wyprzedziła. Szkoda, bo co psu po tym, że patrzył na Ziemię z rakiety?

Stefan Kolakowski miał 37 lat, był koniec 1957 r., cały świat mówił o psim locie w kosmos. Pan Stefan wyjął kartkę papieru, napisał list, kopertę zaadresował: Komisja Komunikacji Międzyplanetarnej, Moskwa. W liście napisał: „...chciałbym przysłużyć się nauce i jako pierwszy człowiek polecieć w kosmos. Zdaję sobie sprawę, że jest to w obecnej chwili wyprawa niebezpieczna i nie ma 100-procentowej gwarancji bezpiecznego powrotu na Ziemię. Gotów jestem podpisać stosowne oświadczenie. Chciałbym polecieć rakieta kosmiczną sam lub z kimś nawet wtedy, gdybym miał z tego lotu nie wrócić...”

Już nie pamięta dokładnie, co czuł wtedy, gdy pisał ten list. Czy wierzył, że może otrzymać odpowiedź pozytywną, czy swoją propozycję sam traktował poważnie?

— Dzisiaj rodzina śmieje się ze mnie, że udam się ten żart. Dla mnie było to coś zupełnie innego, niż chwilowy kaprys. Myślałem: a może jednak?

Ponoć był pierwszym człowiekiem, który zgłosił się do dyspozycji moskiewskiej komisji. Z podobną prośbą zwrócił się nieco później jakiś Japończyk i pan Stefan żałuje, że nie zna jego nazwiska. Chętnie by go poznał, łączy ich przecież taka wyjątkowa sprawa. List w sprawie lotu w kosmos nie był spowodowany chwilą, przecież jeszcze w młodości zaczęły się marzenia o pokonywaniu przestrzeni, o lotach samolotowych, o zwycięskich zmaganiach z siłą grawitacji.

— Życie ludzkie może minąć prozaicznie albo poetycznie. Ja miałem nadzieję, że moje choć nieco oderwie się od przyziemnych realiów — mówi Stefan Kolakowski.

★

Pochodzi z rodziny, której ojciec darzył ogromną czcią Marszałka. Ojciec pisał chwalebne wiersze, ceniące zasługi Piłsudskiego, wiersze naiwne, proste, przecież szczere w swym podziwieniu. Kilka z nich wydrukowały przedwojenne niewielkie gazety. Ze znacznie mniejszego, ale jednak, uznania zrodził się później wiersz dedykowany premierowi Sławoj - Składkowskiemu. Ten wiersz trafił przypadkiem na biurko generała-premiera, który wezwał autora do siebie. Ojciec, zdenerwowany, nie przyznał się sekretarzowi premiera, że jest autorem tego utworu i przypisał go... synowi, Stefanowi.

— I tak trafiłem do kancelarii prywatnej premiera. Było to w Pomiechówku, dokąd państwo Składkowscy przyjeżdżali na odpoczynek. Tam żona premiera, druga żona, Francuzka, organizowała specjalne kolonie dla dzieci proletariatu.

Stał zdenerwowany przed premierem Składkowskim, drżało na nim świąteczne gimnazjalne ubranie, wyczyszczone dokładnie przez matkę specjalnie na tę niecodzienną okazję.

— Premier podziękował za wiersz, powiedział, że szczerze go wzruszył. Zapytał, co robię — przyznałem, że chodzę do gimnazjum. Skoro tak, odpisał premier, to od jutra będzie pan (tak, zwracał się do mnie, młodego chłopaka, per pan!) mieszkał w internacie gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego, świetnym i renomowanym gimnazjum warszawskim!

Słowo premiera sprawiło, że młody Kolakowski otrzymał stypendium gimnazjalne i miejsce w

tym luksusowym gimnazjum, o którym mówiono, że niewiele ustępuje pod względem warunków temu, co oferuje college w Liverpool.

Po chwili weszła żona gen. Składkowskiego, przejęła na siebie dalsze obowiązki. Powiadomiła rodziców oniemiałego chłopaka o wyjeździe do Warszawy, samochodem premiera zawiozła do Warszawy, do sklepu braci Jabłkowski, tam wybrała najdroższy gimnazjalny mundur.

— Mój nie był zły, rodzice długo oszczędzali, żeby kupić ten, w którym stawilem się przed premierem. A w sklepie okazało się, że najwspanialszy mundur w Pomiechówku, w Warszawie jest tylko smętnym ciuchem...

Pani premierowa (oj, jak ona nie lubiła, kiedy tak o niej mó-



Stefan Kolakowski wśród młodzieży szkolnej.

Repr. Jerzy Kosiński

W błękit nieba

wionol) wybierała w sklepie całą wyprawę Stefana: puchową kołdrę, pościel, bieliznę, koszułki. Wieczorem, razem ze służącą, wyszły na każdej sztuce monogram SK.

— Było już po północy, kiedy samochodem premiera odwozila mnie do internatu. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że to prawda, a nie sen Kopciuszka... Później, jeszcze przez długie lata kołdra od pani premierowej wiernie mi służyła. Żałuję, że nie wyrwałem na pamiątkę choć tego skrawka materiału z monogramem...

Młody Stefan często bywał w mieszkaniu pana premiera na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Zapraszano go tam traktując niemal jak wychowanka. Wakacje zawsze spędzał w Pomiechówku — pracował jako pomocnik wychowawców młodzieży i dzieci, zapraszanych na kolonie przez żonę premiera. Kiedy wybuchła wojna, był już w Warszawie, zaczął się miał kolejny rok szkolny. Sympatia premiera była tak wielka, że kiedy wyjeżdżał z kraju, jego żona zadzwoniła do Stefana, proponując miejsce w samochodzie.

— Wtedy zadecydowałem, że zostanę w kraju. Trzeba było przemyśleć tę decyzję. Nie sądziłem jednak, że wraz z odjazdem 12-cylindrowego Packarda premiera skończy się kopciuszkowy sen o kolorowym życiu, dalszej nauce, kontaktach, znajomościach.

W czasie wojny Kolakowski włączył się czynnie do organizacji ruchu oporu. Był młody, wykształcony, niepokorny, obda-

rzony ogromną fantazją i wyobraźnią, potrafił przewodzić innym. Na terenie Prus Wschodnich, gdzie ukrywał się przez znaczną część wojny, poszukiwany w rodzinnych stronach ze względu na sympatie i polityczną działalność ojca oraz własne kontakty, a więc w Prusach, głównie w powiecie giżyckim, dowodził zorganizowaną przez siebie tajną organizacją antyhitlerowską, dywersyjno-sabotażową, noszącą nazwę „Błękitna Gwardia”. Organizacja ta liczyła wielu członków, miała na swoim koncie liczne akcje dywersyjne.

— Organizacja nazywała się „Błękitna Gwardia”, bo jej przesłaniem było hasło: nie upadać na duchu, w błękit nieba patrz. Spojrzenie w bezkres i czystość nieba zawsze dodawało mi wiary i siły.

ne loty w kosmos nie może być spełniona. Loty człowieka na sztucznych satelitach Ziemi mogą być możliwe tylko wtedy, kiedy będzie rozwiązany problem bezpiecznego powrotu kosmicznej rakiety lub też kabiny pilota na Ziemię. Aby rozwiązać to zadanie, wymagana jest długa, wytężona, doświadczalna i konstruktywna praca ogromnej ilości uczonych i inżynierów, zatrudnionych przy budowie rakiet, w lotnictwie i astronautyce. Odnosnie lotów człowieka na Księżyc, czy też na inne planety, zagadnienie to jest jeszcze bardziej odległym problemem. Należy równocześnie wziąć pod uwagę, że przy dostatecznie dużej ilości chętnych do odbycia lotów w rakiecie dobór kandydatów będzie dokonywany przez specjalistów poszczególnych dziedzin nauki, bezpośrednio zatrudnionych nad pogłębianiem i oprowadzaniem warunków lotów kosmicznych”. List ten podpisał sekretarz naukowy komisji — A.G. Karpienko.

— Trudno, odmówili, widać nie można polecieć, tak wtedy pomyślałem. A trzy lata później usłyszałem o Gagarinie. Więc jednak człowiek poleciał w kosmos! Mogłem i ja... Szkoda, że nie ja...

List z ZSRR tylko na chwilę oderwał Stefana Kolakowskiego od realiów jego, bardzo aktywnego życia. Praca społeczna, zawód, uzupełnianie wiedzy, wreszcie — własna rodzina. Z żoną przyjechał przed laty do Lubina, tu wychowały się dzieci.

Przeglądamy rodzinne fotografie, fragmenty sporego domowego archiwum. Spomiedzy zdjęć wysuwa się koperta z adresem papieża, w środku — uroczyste podziękowanie za nadesłany wiersz!

— Pisuję wiersze, fraszki, pióro lekkie, więc i pisanie nie sprawia przykrości. Tu, proszę, podziękowanie od prymasa Głęmpa, a tu od Wałęsy. Ludzie lubią czytać o sobie...

Trzymam w ręku dużą białą kopertę z pieczęcią Rady Astronomicznej Akademii Nauk ZSRR. A więc to tamten list. Nie, chwileczkę, przecież tu jest data z 1987 r. Mogę otworzyć? Pan Kolakowski nie protestuje, uśmiecha się, kiedy czytamy: „Szanowny panie Kolakowski! Z przyjemnością przeczytaliśmy pana list i jesteśmy panu wdzięczni za propozycję udziału w eksperymentalnej wyprawie na Marsa. Pierwsza wyprawa międzyplanetarna będzie niezwykle trudnym i skomplikowanym przedsięwzięciem wymagającym bardzo wiele od jej uczestników. Tylko kosmonauci, mający duże doświadczenie w lotach kosmicznych, mają szansę, aby uczestniczyć w takiej wyprawie. Jest tu niezbędny wieloletni trening i bardzo dobra znajomość warunków panujących podczas lotów kosmicznych. Zaangażowanie do takiej wyprawy ludzi nie mających nic wspólnego z lotami kosmicznymi jest, niestety, niemożliwe. Należy również dodać, że jak dotąd nie wszystkie techniczne oraz medyczne problemy związane z lotem tak dalekiego zasięgu są rozwiązane i termin pierwszej wyprawy na Marsa jeszcze trudno ustalić”. I podpis sekretarza — B. Szustow.

★

— Proszę pani, wciąż nie upadam na duchu, chociaż patrzę w błękit nieba coraz gorzej widzącymi oczyma.

Cóż, uluda daje więcej radości niż dostrzeżenie realnych konturów granic marzeń...

Spisana
BOGUSŁAWA MACHOWSKA

A mogło być jeszcze lepiej...

Zajęcie 3 miejsca w końcowej tabeli bokerskiej ekstraklasy tegorocznej edycji drużynowych mistrzostw Polski jest największym osiągnięciem lubińskiego sportu w swojej historii. Podobnym sukcesem poszczycić się mogą tenisiści stółowi Zagłębia, ale ich „brąz” jest troszkę niższej rangi, z uwagi na zdecydowanie większą popularność pięściarstwa!

A mogło być jeszcze lepiej... gdyby nie „przymusowa” absencja Wojciecha Misiaka (wojsko), kłopoty wychowawcze z 20-letnim Markiem Oczerkiewiczem oraz kontuzje m. in. Marka Zajdela, Henryka Paczkowskiego i Włodzimierza Zgierskiego. Ich brak w drużynie przyczynił się w dużej mierze do „nieplanowych porażek” i utraty punktów. Końcowy zryw pozwolił jedynie na utrzymanie wysokiej trzeciej lokaty w tabeli...

Na początku sezonu wiceprezes Zagłębia ds. boks mł. inż. WIKTOR BŁĄDEK oświadczył, iż sekcja bokerska stawia sobie wysokie cele — nie tylko utrzymania się w I lidze, ale awansu do ścisłej czołówki krajowej. „Uważam — powiedział W. Błądek — iż w klubie stworzony został odpowiedni klimat dla boks, posiadamy zaangażowaną, liczną grupę działaczy, wysokiej klasy szkoleniowców i wielu liczących się w Polsce zawodników. Nie brakuje także w Lubinie sympatyków pięściarstwa, którzy żywiołowym dopingiem zagrzewają do walki swoich pupili”. Prognozy wiceprezesa Zagłębia sprawdziły się w pełni...

O tegorocznych osiągnięciach i planach na przyszłość rozmawiamy z I trenerem mgr. MICHAŁEM MASSIEREM.

— Jest pierwszy w historii lubińskiego boks „brąz”, a pan nie w pełni usatysfakcjonowany?

— Jestem bardzo zadowolony ze zdobycia trzeciej lokaty w tabeli, przede wszystkim zaś z postawy zespołu podczas całego, tak nietypowego sezonu. Przerwy w rozgrywkach powodowały wiele komplikacji szkoleniowych, m. in. „zniknął” nam na kilka tygodni Marek Oczerkiewicz. W pewnym momencie — przyznam się — mieliśmy nawet szansę na mistrzowski tytuł. Z uwagi jednak na perturbacje kadrowe w drużynie (Misiak w wojsku i liczne kontuzje czołowych zawodników) — i prawie już tradycyjny brak „szczęścia” u sędziów, np. w Gdańsku straciliśmy 2 pkt., po skandalicznych werdyktach arbitrów, nasza pozycja w kraju jest w pełni zasłużona. Trzeba odnosić zdecydowane zwycięstwa w ringu i wówczas nawet sędziowie muszą się liczyć z opinią obserwatorów i kibiców.

— Jak pan ocenia miniony sezon?

— Był to naprawdę najlepszy rok. Rafał Rudzki, Włodzimierz Zgierski, Wojciech Misiak i Janusz Zarenkiewicz zdobyli w Krakowie mistrzowskie tytuły, a Marek Oczerkiewicz i Józef Strzechowski brązowe medale. Już wówczas mieliśmy w Lubinie najlepszą drużynę w kraju, ale — jak wszyscy wiedzą — ligowe pojedynki nie zawsze kończą się zwycięstwem lepszemu. Takie są realia ligowej — przepraszam za wyrażenie — młócki. Prestiżowo ważne były także straty w reprezentacji Polski lubińskich zawodników — Rudzkiego i Zarenkiewicza w meczu ze Stanami Zjednoczonymi, jak również udział w mistrzostwach Europy i świata. W Atenach Rafał Rudzki i Janusz Zarenkiewicz zdobyli brązowe me-

dale, a w Moskwie startowali Strzechowski i Misiak. Nasz pierwszy od dwudziestu lat istnienia sekcji medalista olimpijski, który w zasadzie stoi u kresu swojej kariery sportowej, jest zawsze do dyspozycji drużyny, a to się liczy!

— Jest w Zagłębiu wielu utalentowanych młodych bokserów, czemu tak rzadko pokazywali się w ringu?

— W tegorocznej edycji mistrzostw tak się układała sytuacja w tabeli, że nie zawsze mogliśmy korzystać w ringu z debiutantów. Mamy jednak nadzieję, iż w przyszłym sezonie damy im szansę. 19-letni Zbigniew Strzeszyński kilka razy bardzo obiecująco zaprezentował się lubińskim kibicom. Również Rafał Barteżak i Tomasz Kruczek mieli okazję pokazania się naszym sympatykom pięściarstwa. Wśród najmłodszych na uwagę zasługują: Robert Milewicz — brązowy medalista OSM oraz Grzegorz Augusteik. Warto dodać, iż Robert Barteżak jest medalistą młodzieżowych mistrzostw Polski.

— Kontuzje są złą złą nie tylko bokserów Zagłębia?

— Pięściarstwo jest właśnie taką dyscypliną sportu, gdzie różnego typu urazy są prawie na porządku dziennym. Wielkim pechowcem jest Henryk Paczkowski, który złamał ponownie rękę prawie w tym samym miejscu. Trudno będzie liczyć na jego udany powrót, a szkoda utracić tak utalentowanego zawodnika. Zajdel, Zgierski i Strzechowski powinni wrócić do dawnej formy. Liczę na ich udane starty w 1990 roku.

— W meczu z Górnikiem Sosnowice miał wystąpić Wojciech Misiak?

— Mistrz Polski w wadze średniej w dalszym ciągu, mimo ustnej umowy z kierownictwem Legii, odbywa służbę wojskową startując w barwach warszawskiego zespołu. Ponieważ trener Legii urlopował Misiaka z meczu w Słupsku z Czarnymi, przyjechał do domu. W Lubinie jest on zresztą bardzo często i przychodzi trenować do „kościółka”. Sądzę, iż w nowym sezonie wystartuje już w barwach Zagłębia. Chciałbym serdecznie pogratulować dublerowi Misiaka Zenonowi Świderskiemu za olbrzymią sportową ambicję i wolę walki z bardzo utytułowanymi przeciwnikami.

— W styczniu wybieracie się do Szwecji?

— Polski Związek Bokerski wytypował ekipę Zagłębia do reprezentowania barw narodowych na wielkim, międzynarodowym turnieju AIBA w Sztokholmie. Do Szwecji pojedzie cała drużyna, 11 zawodników. Jest to wyróżnienie za zdobycie 3 miejsca w tabeli. Trudno dziś ocenić szanse naszych zawodników, gdyż nie znamy rywali. Sądzę jednak, iż turniej będzie mocno obsadzony, a to daje nam okazję pokazania się w Sztokholmie.

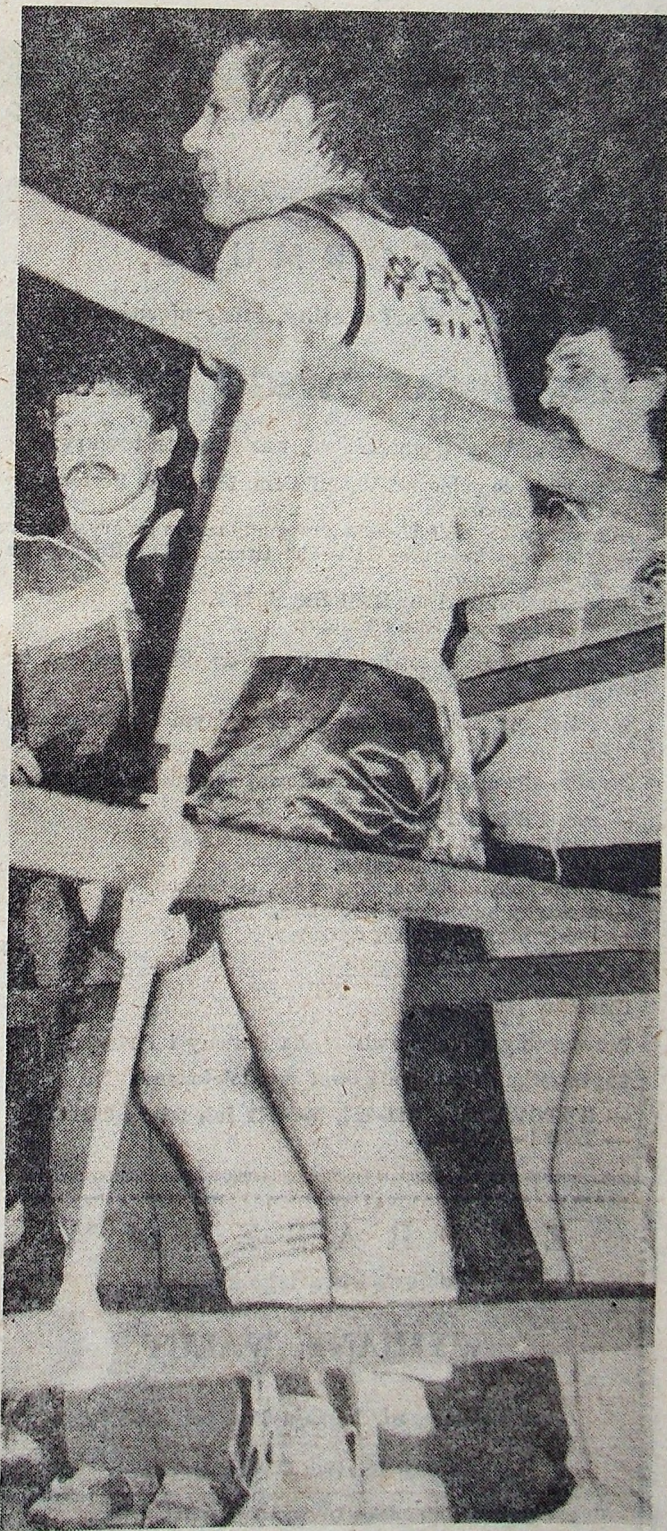
— Nowy sezon rozpoczyna się 18 lutego?

— Właśnie otrzymaliśmy komunikat PZB w tej sprawie. Znamy dobrze rywali. W I lidze zadebiutują Stal Stocznia Szczecin i Walka Zabrze. Jestem przekonany, iż lubińskie Zagłębie co najmniej udanie potwierdzi swój tegoroczny sukces. Działacze i kibice

ce liczą na więcej i chyba mają rację...

Dziękuję za rozmowę i życzę zawodnikom, szkoleniowcom, działaczom i sympatykom lubińskiego boks wszystkim najlepsze z okazji świąt i Nowego Roku, a także spełnienia ich marzeń.

M. MACHNICKI



Jeden z najbardziej utytułowanych polskich bokserów Janusz Zarenkiewicz w ringu. Obok trenerzy: Mieczysław Massier i Paweł Grudziński.

Fot. archiwum

**NOWO OTWARTY SKLEP OBUWNICZY WPHW
(AJENCJA)**

w Lubinie, osiedle Polne, ul. 1 Maja 54
(lokal po byłej cukierni)

**POLEGA SZEROKI WYBÓR
O B U W I A DAMSKIEGO I MĘSKIEGO.**

ZAPRASZAMY w godzinach 10.00—18.00.

8143-g

PHZ SPÓŁKA z o.o. w OLSZTYNIE ODDZIAŁ KATOWICE

INTER-TRADE

40-035 Katowice, ul. Jagiellońska 5

INFORMUJE,

że prowadzi skład celny, który oferuje do

NATYCHMIASTOWEGO ODBIORU

za waluty wymienialne, następujące towary:

- zestawy do odbioru TV SAT firm: HP (High Performans), Uniden, Saïora,
- zestawy TV SAT Uniden z magnetycznym polaryzatorem,
- telewizory kolorowe 21"—26" firm: HCM Royal, ITT, Fujitsu, General,
- magnetowidy firm: HSM Royal, ITT,
- wieże foniczne firmy Simens.

Wyżej wymienione towary dostarcza do składu celnego firma CIFED SA z RFN.

Sprzęt objęty jest serwisem gwarancyjnym i pogwarancyjnym.

Ponadto oferuje do natychmiastowej sprzedaży za złotówki:

- sprzęt RTV i TV SAT,
- kserokopiarki i telefaksy,
- materiały eksploatacyjne,
- samochody osobowe, dostawcze, ciężarowe,
- maszyny budowlane i rolnicze,
- każdy inny sprzęt wg życzenia.

CENY KONKURENCYJNE.

Działamy już 3 lata.

Prowadzimy usługi serwisów dla Baltony i Pewexu.

Zapraszamy do składania ofert pod telefonami:

- KATOWICE — 511-924, 524-421 lub teleks 0312711;
- ŁÓDŹ — 843-627.

ZAPRASZAMY

do nowo otwartego kantoru

WYMIANY WALUT

w Lubinie, ul. 1 Maja 17a, tel. 44-13-00

(naprzeciw stacji CFTN w mieście)

U nas najkorzystniej dokonasz wymiany walut.
Gwarantujemy pewność transakcji.

8141-g

NAJSZYBCIEJ, NAJTANIEJ ZAMIEŚCISZ KAŻDE OGŁOSZENIE I KAŻDĄ REKLAMĘ W „POLSKIEJ MIEDZI”

Ogłoszenia przyjmujemy codziennie (z wyjątkiem sobót) w sekretariacie redakcji (Lubin, ul. M. Skłodowskiej-Curie 66, D-10, tel. 461-021 i 461-025) w godz. 8.30—15.

Nasz tygodnik ukazuje się nie tylko w zagłębiu miedziowym.



**BIURO HANDLU ZAGRANICZNEGO
FIRMY „DIGITAL”**

UMOŻLIWI TWOJEMU PRZEDSIĘBIORSTWU

w nowej, atrakcyjnej formie zakup towarów za waluty
wymienialne i za złotówki.

OFERUJEMY:

- telewizyjne systemy dozoru i TV przemysłowej firmy PANASONIC
- zestawy do odbioru telewizji satelitarnej firmy ECHOSPHERE INTERNATIONAL USA
- sprzęt audio-wideo
- kserokopiarki: CANON, RANK, XEROX, TOSHIBA
- telefaksy OKI FAX, CANON FAX, RANK XEROX
- teleksy firmy SIEMENS
- maszyny do liczenia banknotów: ADS ANKER, GLORY
- elektroniczne maszyny do pisania
- kalkulatory CASIO 12-, 14- i 16-pozycyjne.
- minialkomaty (alkoholomierze) w cenie 39 USD! BHZ firmy DIGITAL prowadzi usługi importowe i eksportowe w I i II obszarze płatniczym.
- UWAGA! BHZ pobiera prowizję tylko w złotych!!!

**Przedsiębiorstwo Handlowo Usługowe
Sp. z o.o. 80-385 Gdańsk, ul. Cz. Sztandaru 2
tel. 522068, 522069, fax 523631, tlx 512563**

**42-200 Częstochowa 40-551 Katowice
al. N.M. Panny 64 ul. Nasypowa 6
tel. 420 23 tel. 521300
tlx 037688 tlx 315684**

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-HANDLOWO-USŁUGOWE

TWOJĄ FIRMA



„WIRAM”

sp. z o.o., 26-600 Radom, ul. Miedziana 5, tel. 514-70
oferuje w ciągłej sprzedaży pełny asortyment:

- SRUB
- NAKRĘTEK

w rozmiarach: od M3 do M30

- WKRĘTÓW
- BLACHOWKRĘTÓW
- PODKŁADEK

- oraz
- SIATKĘ OGRODZENIOWĄ
- GWOZDZIE

Szanownych Klientów prosimy o kontakt: telefoniczny, tel. 514-70
w godz. 8—15 lub osobiście: Radom, ul. Miedziana 15.

TV

CZWARTEK - 1989-12-21

9.25 "Policjanci z Miami" - serial kryminalny
16.25 "Kwant" oraz film z serii "Świat, w którym żyjemy" - 17.15 Teleexpress
17.30 "Małoletni"
17.55 "Przez rok 2000"
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Interpolacje - cz. I
19.30 Wiadomości
20.05 "Policjanci z Miami" - "Coś za coś" - serial kryminalny prod. USA
20.55 Interpolacje - cz. II
21.35 Sport
21.45 "Pegaz"
22.30 "Ring-rock in gospel", cz. 2
22.50 Dł echa dnia
23.10 Język angielski (40)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (10)
17.25 Program dnia
17.30 Skarby kultury polskiej
18.00 Program lokalny
18.30 "Bliskie spotkania III stopnia"
18.00 Magazyn "102"
19.30 "Opowieść o rybach" - film przyrodniczy
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 "Zakazana planeta" - film fab. prod. USA
23.35 Komentarz dnia

PIĄTEK - 1989-12-22

9.25 Kino telefilm: "Gepard powraca" - film prod. ZSRR
10.30 "Dekalog, trzy" - film TP
16.25 "Rambli" - teleturniej
16.50 "Okienko Pankracego"
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
17.55 "Lecznica dusz" - film dokumentalny
18.25 "Rzeczpospolita samorządna"
18.45 Weekend w "Jedynce"
19.00 Dobranoc
19.10 "Teraz"
19.30 Wiadomości
20.05 "Dekalog, trzy" - film TP
21.05 Kontrapunkt
21.35 Sport - hokej

22.25 Spór o jutro - otwarte studio
23.25 Dł echa dnia
23.45 Spór o jutro - otwarte studio

PROGRAM II

1.50 Wrocławskie przeboje
18.00 Program lokalny
18.30 Święteczna antena "Dwójki"
18.50 Program rozrywkowy
19.30 Dookoła świata - "W Kenii"
20.00 "Piątek"
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 "Irlandczyk" - film fab. prod. australijskiej
23.30 Komentarz dnia

SOBOTA - 1989-12-23

9.00 "Drops" oraz film prod. jugosłowiańskiej z serii "Jelonek" (7)
10.30 Dł echa dnia
10.40 "Zołnierskie wigilie"
11.25 Z Polski rodem
11.55 Oratorium wigilijne
12.25 Telewizyjny Teatr Prozy - Henryk Rzewuski: "Pamiętki Sopliwy"
13.30 "Tredowata" - adaptacja powieści Heleny Mniszkówny
14.00 Boże Narodzenie z polskimi "Słowikami"
16.25 Do trzech razy sztuka
16.55 "Antena"
17.15 Teleexpress
17.30 "Kim jest pan Kukuczka"
18.05 Butik
18.35 Koledzy śpiewa Ryszard Karczykowski
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 "Riffl po sześćdziesiątce" - komedia obyczajowa prod. polskiej
21.25 Sport
21.45 Koledzy trochę inne
22.30 "Piłka wielkiej koledy"
22.50 "Piłka, miłość, zemsta" - śpiewa Kazimierz Kowalski
23.20 Telegazeta
23.25 "Dwójka karo" - "Przeprawadka" - film kryminalny prod. USA

PROGRAM II

13.30 Czas akademicki
14.00 W świecie ciszy
14.25 "5 - 10 - 15"
15.35 Małe kino: "Pastoralaki"
16.25 Telewizyjny koncert życzeń
16.55 Kraków na antenie "Dwójki"
17.00 "Wielka gra"
18.00 Program lokalny
18.30 Kraków na antenie "Dwójki"
21.30 Panorama dnia
21.45 "Odnalezione marzenia" - film fab. prod. angielskiej
23.25 Koledzy Hanny Banaszak
23.35 Komentarz dnia
23.40 Kraków na dobranoc

NIEDZIELA - 1989-12-24

6.30 "Idziemy z wilią"
9.00 Święteczna niespodzianka
9.20 "Ania z Zielonego Wzgórza", cz. 1 - film prod. kanadyjskiej

10.30 Dł echa dnia
10.35 "Złoto" (1) - "Śladami Jacka Londona" - serial dokumentalny prod. włoskiej
11.15 Powitanie z Poznania - "Dziadek do orzechów" - fragment baletu w wyk. Polskiego Teatru Tańca pod kierunkiem Ewy Wychowskiej
11.25 Pozdrowienia ze świata - relacje korespondentów TVP z przygotowań świątecznych w stolicach europejskich
11.40 Świąt wielkiego sportu
12.20 Prezenty pod choinkę
12.25 "Wigilie w przyjaźni" - widowisko poetyckie
12.45 "Narodziny" - widowisko poetyckie
13.00 "Wielkopolski stół wigilijny" - widowisko publicystyczne
14.15 "Łosna ballada" - widowisko poetyckie dla dzieci i młodzieży
14.35 "Janka" (14) - serial prod. polsko-zachodniemieckiej
15.05 "Panna dziewczynka" - serial prod. brazylijskiej
16.45 Pozdrowienia z Wiednia
16.50 Wigilijne posłanie
17.00 Prezenty pod choinkę - Wigilia u prezidenta
17.15 Teleexpress
17.30 "Małenka miłość" - koledy w plenerach wieczornego Poznania śpiewa Eleni
17.50 Prezenty pod choinkę
17.55 "Opłaki polskie" - widowisko poetyckie Teatru Nowego w Poznaniu
18.20 "Koledować małemu..." - koledy i pastorałki śpiewają Halina Frąckowiak, Krystyna Prońko, Irena Jarczyńska i inni
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.00 Homilia prymasa Polski - kard.

dynała Józefa Glempa
20.25 "Trzej mężczyźni i dziecko" - francuska komedia obyczajowa
22.05 "Wigilie polskie" - program poetycko-muzyczny
23.05 "W sercach otucha" - Włodzimierz Korcz zaprasza
23.35 "Concerto grosso" - na Boże Narodzenie gra Orkiestra Kameralna PRITV pod dyr. Anieśli Duzinal
23.55 Pasterka z Watykanu

PROGRAM II

10.00 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
10.35 Film dla niesłyszących: "Trzej mężczyźni i dziecko" - komedia prod. francuskiej
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Kino familijne: "Autostrada do nieba" - "Samotny" - film prod. USA
13.20 "Royal Albert Hall" - koncert fundacji na rzecz dziecka
14.20 100 pytań do
15.00 "Ulice polskie" - program publicystyczny
15.30 Benefis Ireny Santor
16.25 Podróż w czasie i przestrzeni (6) - serial dokumentalny prod. australijskiej
17.30 Bliziej świata - przegląd telewizji satelitarnych
19.00 "W labiryncie" - świąteczne spotkanie z twórcami serialu
19.30 Koledy Lutosławskiego śpiewa Jędrzej Rappé
20.00 "Żyłam sztuką..." - słynne Toski o sobie i swym wzorze" - film muzyczny prod. RFN
21.30 Panorama dnia
21.45 "Adam" - impresja filmowa o twórczości Adama Myjaka
22.10 "Wojna i pamięć" (17) - serial prod. USA
23.10 Komentarz dnia
23.15 "Zwierzeta mówią"
23.25 "Akademia wiersza"

PONIEDZIAŁEK - 1989-12-25

9.00 Święteczna niespodzianka
9.20 "Ania z Zielonego Wzgórza", cz. 2 - film prod. kanadyjskiej
10.30 "Kupa kamieni" - film dokumentalny
11.00 Telewizyjny koncert życzeń - wydanie świąteczne
12.00 Akademia filmowa: "Ninoczka" - film fab. prod. USA
13.45 "Białe zęszty" - gwiazdkowe piosenki śpiewa Jan Bo
14.10 "Ten najpiękniejszy świat" - Ewa Bem śpiewa piosenki dla dzieci
14.55 "Z dalekiego kraju" - film prod. włosko-angielskiej
17.15 Teleexpress
17.30 "Zaświeć gwiazdo nam" - koledy i pastorałki śpiewa Grażyna Swiła
18.00 "Premiera w 'Qui pro quo'" - kabaret Zenona Wiktorczyka
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr telewizyjny - Marian Hemar: "Dwaj panowie B."

21.40 Elton John w Weronie
22.20 Sportowe przeboje roku
23.25 "Dwójka karo" - "Trucizna" - serial kryminalny prod. USA

PROGRAM II

11.15 "Darby O'Gill i krasnoludki" (1) - film prod. USA
12.00 Powitanie
12.10 "Polacy" - "Waleśa" - film dokumentalny
13.15 "Nasz jest ten dzień" - progi dokumentalny
13.50 "Bogusław Kaczyński zaprasza"
16.50 "Koledy polskie w Betlejem" - reportaż
17.20 "French Sanders Christmas special" - film muzyczny
18.00 "Kochany tatuś" - film dokumentalny
18.20 "Wolanie Eurydyki" - recital Hanny Banaszak
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 "Gdzie się podział Madonna" - reportaż
20.00 "Ballada o drodze" - program poetycko-muzyczny
20.55 "Apostołowie pojednania" - reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino antypodów: "Srebrne miasto" - film fab. prod. australijskiej
23.25 Komentarz dnia
23.30 "Koledy baletowe" - tańczy Ewa Wychowska

WTOREK - 1989-12-26

9.00 Święteczna niespodzianka
9.20 "Ania z Zielonego Wzgórza" (3) - film prod. kanadyjskiej
10.30 "Tajemnice piękna Japonii"
11.20 Videotop
11.50 W starym kinie: "Antek policmajster" - polski film archiwalny z 1936 roku
13.30 Teatr dla dzieci - Maria Guzy: "Dwie Dorotki"
14.40 "Żyłam sztuką, żyłam miłością" - film dokumentalny
15.40 "Dzień wolności"
16.20 "Ginące zawody"
17.05 Teleexpress
17.20 "Dodge City" - western prod. USA
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 "Rzymianka" (1) - serial prod. włoskiej
21.35 Sport
21.45 Gustaw Brom i jego goście
22.45 "Dziwaczny z piątynowej płyty"

PROGRAM II

11.05 "Darby O'Gill i krasnoludki" (2 - ost.) - film prod. USA
11.50 Powitanie
12.00 "Błękitna koleda"
12.30 "Boże Narodzenie" - film dokumentalny
13.00 "Polacy" - "Droga do środka" - film dokumentalny
13.50 Biografie: "Opowieść o Andrew Lloydzie Webberze" - film dokumentalny
15.10 "Polacy" - "Bernard Ładysz - król basów"
16.00 Dookoła świata z Mchaelem Jacksonem
17.10 Za chwilę dalszy ciąg programu
18.00 Magazyn "102"
18.40 Modlitwa wieczorna z sanktuarium maryjnego we Wrocławiu - Na Piasku
19.00 Goście Daniela Passenta - Mario Binetti i Wiktor Szostak
19.30 Koledy polskie
20.00 "Rozświetlona noc"
21.00 "Cicha woda" - piosenki lat pięćdziesiątych
21.30 Panorama dnia
21.45 "Lew afrykański" - film fab. prod. USA
23.30 Komentarz dnia
23.55 "Zaśnijcie i ty" - program poetycko-muzyczny

ŚRODA - 1989-12-27

9.25 Kino telefilm: "Baśń" • zaczarowanych koralików, cz. 1
10.30 "Zabawy młodych" - film fab. prod. ZSRR
16.25 Telefilm: "Hocki-klocki"
17.15 Teleexpress
17.30 "Gry wojenne"
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy
18.15 Dawniej niż wczoraj
19.00 Dobranoc
19.10 Oferty "Pegaza"
19.30 Wiadomości

PROGRAM II

17.30 Śpiewanie w Kraju Basków - reportaż
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn "102"
19.00 "Hotel Zaczęło" (10)
19.30 Rewelacja miesięca - Michal Barysznikow
21.30 Pa.orama dnia
21.45 "W labiryncie" (52) - serial TP
22.15 "997" - kronika milicyjna
23.15 Komentarz dnia

(Uwaga Czytelnicy - rubryka "Co, gdzie, kiedy" dziś wyjątkowo na str. 14)

HOROSKOP

● BARAN (21 III-18 IV) Czyżby sukcesy sprawiały, że najpierw doznasz uczucia zazdrości, a potem zechcesz mieć podobne osiągnięcia. Spróbuj, może się uda. Szanse są, ale potrzebne będzie wyrzeczenie i praca. Sojusznika dla swych planów znajdziesz.

● BYK (19 IV-20 V) Na widoku ciekawe zmiany. Teraz zaczniesz dopiero na ten temat rozmawiać, ale będą to już ustalenia konkretne. Zważ czy jesteś rzeczywiście w stanie podjąć podjęty planom. Warto jednak spróbować.

● BLIŻNIĘTA (21 V-22 VI) Dobre dni, choć spraw do załatwienia nie zabraknie. Nawet będzie ich nadmiar, dostrzeżesz jednak ich wagę, zwłaszcza na przyszłość. Kogoś, kto będzie innego zdania na ten temat, nie próbuj przekonywać, szkoda czasu.

● RAK (23 VI-22 VII) Trochę się skomplikują codzienne sprawy. Może wpłyną na to nowe układy i wynikające z tego zmiany. Warto zrobić kilka taktycznych posunięć, które uspokoją sytuację. Masz szanse na sukces.

● LEW (23 VII-22 VIII) Uda się w tych dniach przeprowadzić jakąś sprawę, na której powodzeniu ci zależy. Także spotkanie, do którego dojdzie w tych dniach, usatysfakcjonuje cię. Odezwie się ktoś dawno nie widziany i padną miłe słowa...

● PANNA (23 VIII-22 IX) Rozmowa, na dość licznyemu spotkaniu, z zupełnie obojętną, może prze-

kształcić się w interesujący flirt, i to bardzo obiecujący! Postaraj się w najbliższych dniach o ponowne spotkanie, gra warta świeczki!

● WAGA (23 IX-22 X) Bliskie sprawy będą wymagać sporego wysiłku i czasu. Zmobilizuj się, masz bowiem szanse na ciekawe i korzystne układy. W kręgu towarzyskim - sukces!

● SKORPION (23 X-22 XI) Nowe sprawy, nowe problemy, liczne zajęcia. Wszystko okaże się interesujące i warte twojego wysiłku. Wprawdzie natkniesz się na sprawę, która może cię zniechęcić, ale reszta przeważa i jednak wiele zyskasz.

● STRZELEC (23 XI-22 XII) Sytuacja dość skomplikowana. Może warto, póki czas, wycofać się dyplomatycznie, taktownie. Nie narazisz się w ten sposób na kłopoty czy straty. Miłe, niespodziewane spotkanie poprawi nastrój.

● KOZIOROŻEC (22 XII-20 I) Obiecujący flirt. Nawieźesz go najpewniej na jakimś bliskim spotkaniu towarzyskim. Aby nie stał się przelotny, będzie cię to kosztowało nieco starań. Może i wart, będzie jak znalazł na bliski karnawał.

● WODNIK (21 I-18 II) Twoje najbliższe plany wzbudzą sprzeciw otoczenia. Lepiej więc zadziwiać z zaskoczenia, w ten sposób unikniesz denerwujących rozmów. Masz szanse na powodzenie, ale musisz polegać głównie na sobie.

● RYBY (19 II-20 III) Część własnego czasu trzeba będzie poświęcić komuś, kto tego będzie teraz bardzo potrzebował. Zdecyduj się, sprawa będzie ważna. W finansach - miła niespodzianka, jakaś premia?

Prosto z życia

SYGNALIZATOR

Skarżą się rodzice dzieci uczęszczających do Szkoły Podstawowej nr 1 w Głogowie na opieszałość osób odpowiedzialnych za funkcjonowanie sygnalizacji świetlnej. Szkoła stoi bowiem tuż za skrzyżowaniem dwóch bardzo ruchliwych ulic: Świerczewskiego i Jedności Robotniczej. Jest tam przejście dla pieszych oznaczone pasami i sygnalizator świetlny, ale najczęściej albo pulsuje on żółtym światłem, albo w ogóle nie działa.

Rodzice w trosce o bezpieczeństwo swoich dzieci, które nie zawsze mogą odprowadzić do szkoły, pytają czy nie można czegoś zrobić, żeby sygnalizator był stale sprawny? Czy musi dojść do wypadku, aby się ktoś tym zainteresował?

PROSTO Z PRAGI

Okazuje się, iż nie tylko Polacy, ale i nasi południowi sąsiedzi potrafią dowcipkować z tego, co się aktualnie dzieje w kraju. Oto najbardziej popularny kawał usłysznany na praskiej ulicy:

— Czy Czesi się najbardziej martwią, a Słowacy cieszą?

— Tym, że Jakesz (do niedawna I sekretarz KPCz) nie jest Słowakiem.

W RAMACH SPECJALNYCH UPRAWNIEN

Lech Wałęsa wystąpił z publicznym apelem o przyznanie rządowi specjalnych uprawnień. Chodzi bowiem o to, aby dać gabinetowi możliwość szybkiego wywijania reformatorską palą w imię porzucenia pasożytniczych struktur monopolistycznych.

Wprawdzie nie wiadomo czy rząd te uprawnienia otrzyma, ale jeśli tak, to magazyn „Pz” ma już odpowiedniego kandydata do specjalnego potraktowania.

We wszystkich miastach regionu można dostrzec samochody z napisem na burcie: PTHW w Zielonej Górze Zakład Wojewódzki w Legnicy.

Naszym skromnym zdaniem ani struktura okręgowa, ani wojewódzka nie ma nic wspólnego z logiką ekonomii. Jest w tym tylko logika życia na cudzy rachunek. Czas najwyższy, aby każdy zaczął płacić za siebie i uczciwie zarabiać.

A SKĄD ŚPIWORY?

Cena metra kwadratowego mieszkania osiągnęła już 300 tysięcy złotych. Szczęśliwiec musi

Pomysł naszych Czytelników, że przyjdzie masowo budować ziemianki, podoba nam się tylko częściowo. No bo skąd wziąć dmuchane materace i śpiwory, skoro poprzedni rząd wysłał wszystkie dla bezdomnych z Nowego Jorku?

NARESZCIE SVOJE?

Dlategoż to mamy oglądać się na odległe Monte Carlo, lub bliżej, na Warszawę, kiedy możemy mieć swoje. Jak podała 9 bm. „Gazeta Robotnicza” sztab operatywnych i bardzo przedsiębiorczych bossów już myśkuje po DKZM-ie przymierzając się do kasyna gry, które niebawem ma tu powstać.



więc wyłożyć gotówką prawie dwa miliony za przeciętne M-4. A przecież dzieje się to wszystko w warunkach niskoprocentowanych kredytów. Zaniepokojeni Czytelnicy pytają nas — ci bez własnych mieszkań oczywiście — ile trzeba będzie wyłożyć, chcąc otrzymać chałupę w przyszłym roku po cenach komercyjnych? Oni uważają, że kilka razy więcej i mało kogo będzie stać na taki luksus.

Trudno nam odpowiedzieć na to pytanie, albowiem z dotychczasowych enuncjacji ministra Paszyńskiego nic nie wynika.

Wolno mi przypuszczać, iż wcześniej dokładnie musiano przebadać zawartość portfeli mieszkańców Lubina i okolic. Najprawdopodobniej z rozeznania tego wynikało, że tu właśnie jest tego miejsce. Być może nie ma w tym nic dziwnego, gdyby nie miejsce przyszłego usytuowania... A jeśli hazard ma w najbliższej przyszłości służyć kulturze, to nie przeganiamy wobec tego tych mniej zasobnych ze schodowych klatek, bo zanim tam dotrą, łaknący tej „kultury” muszą gdzieś „poćwiczyć”.

I co na to młodzież? A co prezydent miasta? Biada nam, jeśli nasze dzieci...

UPLYNNIANE MILIARDY

My widzimy wokół siebie tylko beznadzieję i ubóstwo, goście z zagranicy zarzucają nam zaś ogromne marnotrawstwo. Co więcej, powiadają, że u nas pieniądze leżą na ulicy. I mają rację.

Oto cierpiąca bieda służba zdrowia wydaje miliardy na 95-proc. alkohol etylowy, czyli spirytus w cenie 60 tys. złotych za litr, który jest używany w lecznictwie do celów antyseptycznych i dezynfekcyjnych. Tymczasem w cywilizowanym i bogatym świecie stosuje się do tych samych celów alkohol izopropylenowy. Wypada w tym miejscu od razu dodać, iż jest on produkowany również w naszym kraju, a do tego jest 11-krotnie tańszy.

Jedynym mankamentem tego alkoholu — jak mówią złośliwi — jest tylko to, iż nie nadaje się do konsumpcji.

UDANEJ IMPREZY!

Zarząd Sekcji Łuczniczej Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego w Legnicy zaprosił nas na I Halowy Turniej Łuczniczy „O lampkę górniczą”, pod patronatem KGHM. Ze starannie „odrobionego” zaproszenia dowiedzieliśmy się, że impreza rozpocznie się 2 grudnia o godzinie 10 na torach łuczniczych MOS w Szkole Podstawowej nr 3 w Legnicy. Z pewnością skorzystaliśmy z zaproszenia, gdyby nie fakt, że dotarło do redakcji dokładnie 5 grudnia. I nie mogło być inaczej, skoro przesyłkę — o czym zaświadcza stempel na kopercie — nadano 1 grudnia — w piątek. Czyżby organizatorzy nie wiedzieli, że w weekend poczta nie pracuje i w ogóle raczej trudno przypuszczać, aby dostarczyła przesyłkę po jednym dniu?

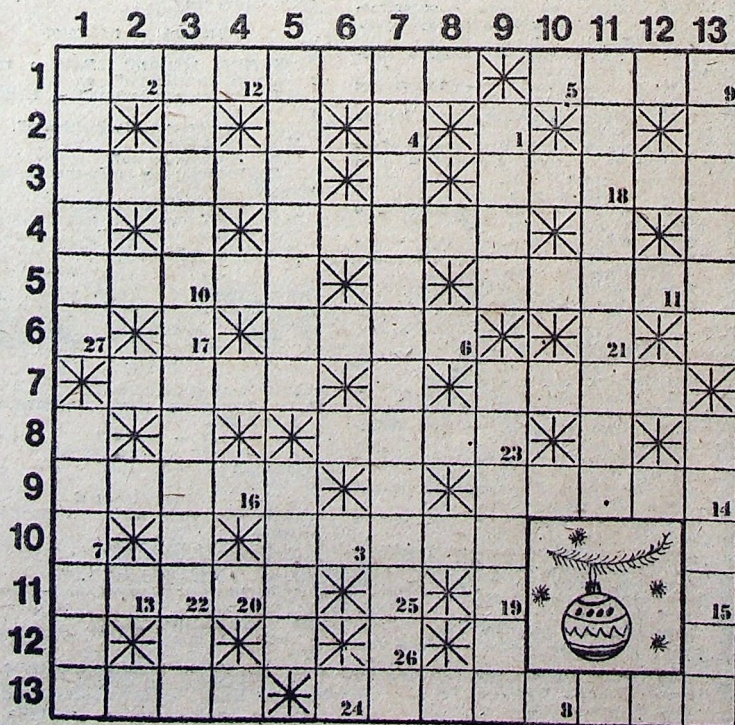
W każdym razie za zaproszenie dziękujemy i życzymy udanej imprezy!

BEZ SKOJARZEN!

A propos niedawnej rozmowy (opublikowanej w „Gazecie Robotniczej”) z kandydatem na delegata na zjazd PZPR — cytując „Przekroju”:

„Największe kariery robią zawsze faceti, którzy potrafili być tak posłuszni wobec swego szefa, jak jego własny cień”.

KRZYŻÓWKA "PM"



Litery z krótek ponumerowanych, czytane kolejno od 1 do 27 utworzą aktualne rozwiązanie.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

Z NR 49 (32)

R = 10.

POZIOMO:

- A) Kopiorama • Widmo, upiór.
- B) W barszczu • Pewność siebie, śmiałość.
- D) Jezioro na Pojezierzu Gnieźnieńskim.
- E) Koszenie traw lub zbóż • Słaz.
- F) Nocna reklama.
- G) W kopercie • Wyraz twarzy.
- H) Drzewo-błaga.
- I) Ułożenie zębów szczęki i żuchwy
- J) Cicha mowa.
- K) Kłamca.
- L) Centralna część atomu.
- M) W powietrzu • Jarzyna z rodziny dyniowatych.

PIONOWO:

- A) Pyza lub łazanka • Część butelki.
- C) Coś z pościeli.
- B) Zuchwalec, gbur, • Surowiec dla hut.
- G) Ośmieszenie się.
- I) Łączy Swinoujście z Ystad • Urządzenie zastępujące pracę ludzką.
- K) Alergia.
- L) „Garaż” samolotu • Bryła geometryczna.

RYSZARD ŁOBOS

